

Nr 26 26 CZERWCA 1938 R.

ZADUMANA

Artystka filmowa Photo:

SYLWETKI PRZESZŁOŚCI

SZKIC HISTORYCZNY

HENRYK POTOCKI

My rządzimy światem, a nami kobiety. Nikt nie może kwestjonować słuszności tego aforyzmu. Historja ludzkości od najbardziej zamierzchłych czasów, po dzień dzisiejszy stwierdza jego prawdziwość w sposób nie podlegający dyskusji.

Czyż nie byłoby interesujące przyjrzeć się niektórym sylwetkom tych, którzy rządzili światem i tych, które nimi władały? Interesujące przedewszystkiem dlatego, że władały przez miłość, a miłość — to zawsze pasjonujący temat, zawsze aktualny, zawsze budzący żywą ciekawość.

Miłość w historji: zagadnienie tem ciekawsze, że naogół mało szerszemu ogółowi znane. To raczej kulisy historji niedostępne dla zwykłych śmiertelników, czerpiących swoje wiadomości historyczne z podręczników szkolnych. Warto niedyskretnie zajrzeć za te kulisy, a wówczas akcja rozgrywająca się na wiekowej scenie dziejów wyda się zupełnie inna: żywsza, jaśniejsza, bardziej zrozumiała, bliższa, bo grana nie przez figury papierowe, ale przez aktorów z krwi i kości, — ludzi takich jak my.

Historja wszystkich narodów dostarcza wiele na to przykładów; nigdzie jednak miłość nie święciła takich triumfów, nigdzie nie wycisnęła takiego piętna na całości życia towarzyskiego i politycznego, jak we Francji.

Powszechnie znana jest postać Henryka IV [1]), jednego z wielkich królów francuskich. Jednak to, co ogólnie wiemy o nim, mało się różni od wiadomości o innych wielkich ludziach ubiegłych wieków. Jakieś zwycięstwa, posunięcia polityczne, dyplomatyczne, działalność społeczna, gospodarcza... Czasem wspomina się o tem, że cele swojej polityki gospodarczej określał on słynnem dosadnem zdaniem: „Aby każdy chłop francuski miał na niedzielę kurę w garnku".

Natomiast prawie zupełnie nie zna się jego życia prywatnego, ściśle mówiąc — miłosnego, co w tym wypadku pokrywało się prawie zupełnie. A życie to było niesłychanie bujne. W czasie jego panowania i jeszcze długo potem więcej mówiono o jego miłostkach, przygodach i awanturkach sercowych, aniżeli o ważnych czynach politycznych, czy wojskowych. Odnosi się wrażenie, że cały wolny czas od obowiązków panującego poświęcał kobietom, których olbrzymia ilość przesunęła się przez jego życie.

Kogo nie było wśród tych, które przez pewien czas władały jego monarszem sercem! Jako sprawiedliwy władca dbał o „uszczęśliwienie" kobiet... wszystkich stanów! Wśród jego licznych kochanek znajdują się panie z najwyższej arystokracji, szlachcianki, piękne mieszczki, wieśniaczki, nawet zakonnice. Obojętne mu było czy kobieta, na którą zwrócił uwagę, była mężatką, wdową, czy panną. Przecież niewiele brakowało, aby jedna z najsłynniejszych jego kochanek: Gabrielle d'Estreés została królową Francji. Innej sławnej kochance, Henriecie d'Entragues obiecał małżeństwo na piśmie, biorąc Boga na świadka.

Obszerne i szczodre było serce tego wielkiego króla. Ale nietylko sercem szafował szczodrze: rozstawał się ze swemi kochankami, hojnie je obdarowawszy. Nie zapominał również o dzieciach, które były owocem tych związków. Wiele z nich chowało się na dworze razem z legalnemi dziećmi i miało zapewnioną wspaniałą przyszłość. Wystarczy wymienić chociażby księcia de Vendome, syna Henryka IV i Gabrielle d Estrées, a dziadka jednego z najbardziej znanych wodzów francuskich. Jedną ze swoich kochanek, hrabinę de Moret przedstawił król swemu 6-letniemu synowi, późniejszemu Ludwikowi XIII następującemi słowami: „Mój synu, zrobiłem syna tej oto pięknej pani; będzie on twoim bratem". Był nim też, bo wychowywał się na dworze, a po śmierci Henryka IV Ludwik XIII opiekował się nim jak rodzonym bratem.

Nie wszystkie przygody miłosne Henryka IV przeszły do historji. Czasem znane jest tylko nazwisko przygodnej kochanki, czasem tylko fragment miłostki. Tak było z wdzięcznem wydarzeniem, które w skutkach swoich przetrwało do dnia dzisiejszego. Kiedyś przejeżdżając przez uroczą kotlinę, zobaczył król piękną dziewczynę, pijącą wodę ze strumienia. Uderzony wdziękiem dziewczyny, zatrzymał się i pozdrowił ją: „Bois belle" — pij piękna. Nieznany jest dalszy ciąg tej przygody, ale od tego czasu kotlinka, w której się to wydarzyło, nazywa się Boisbelle.

Wiek bynajmniej nie ostudził temperamentu Henryka IV. Był wprawdzie moment, kiedy zdecydował, że czas byłoby się ustatkować i osłodzić sobie starość jedynie piękną, niewinną, platoniczną miłością. Stało się to pod wpływem ślicznej, młodej, bo 15-letniej panny, Szarlotty de Montmorency [2]). Została ona przedstawiona u dworu i wzbudziła taki zachwyt u podstarzałego monarchy, że postanowił zatrzymać ją przy sobie i kontentując się niewinnem, ojcowskiem prawie uczuciem, dokonać reszty życia w promieniach jej młodości, słodyczy i urody. Postanowił w tym celu wydać ją zamąż za swego bratanka Henryka II de Bourbon, księcia de Condé [2]), o którym wiedział, że polowaniem interesuje się więcej, niż kobietami.

Stało się według życzenia monarchy. Ślub się odbył; młoda piękność została na dworze.

Ale marzenia o platonicznej miłości rozwiały się szybko.

Condé nie kochał swojej żony, ale uważał, że rogi otrzymane w darze od królewskiego stryja nie przyniosą mu bynajmniej zaszczytu. Postanowił uchronić się przed tem i niespodziewanie wywiózł młodą żonę do jednego ze swoich zamków.

Król był niepocieszony. Ten doświadczony zdobywca serc niewieścich cierpiał jak niedoważony młokos, płaczący nad zawiedzioną pierwszą miłością. Chciał nawet rymami opiewać swoją boleść, ponieważ jednak nie posiadał ku temu zdolności, kazał się wyręczyć nadwornemu poecie. Pragnienie zobaczenia ukochanej było tak silne, że wybrał się w tajemnicy do zamku, w którym ona przebywała i w przebraniu sokolnika wziął udział w polowaniu. Niewiadomo też, jak by się ta cała sprawa skończyła, gdyby nie to, że Condé widząc, że we Francji nie uchroni żony przed natarczywą miłością monarchy, wywiózł ją nagle do Brukseli.

Henryk IV zarządził natychmiast pościg, który jednak dosięgnął zbiegów już na obcem terytorjum. Król nie dawał za wygraną: robił starania o wydanie uciekinierów, namawiał ich do powrotu, próbował nawet porwać księżnę z pałacu książąt Orańskich w Brukseli. Wszystkie te poczynania skończyły się niepowodzeniem, ale książę de Condé odzyskał spokój dopiero po śmierci Henryka IV, zamordowanego przez fanatyka zamachowca.

Syn Henryka IV i następca, Ludwik XIII [3]), miał biegunowo różne usposobienie. Chłodny, spokojny, zrównoważony uznawał miłość jedynie w związku małżeńskim. Ponieważ w żonie, Annie austrjackiej nie znalazł walorów, których szukał w kobiecie, więc już w parę lat po ślubie ograniczył swoje współżycie z nią do codziennych, oficjalnych wizyt, w czasie których rozmawiał więcej z dworzanami, aniżeli z królową. Cierpiał jednak i marzył o prawdziwem uczuciu. Ale ponieważ zdradę małżeńską uważał za poważne, niedopuszczalne wykroczenie, więc miał przed sobą jedynie perspektywy czystej, platonicznej miłości. Zresztą nie tyle ciało jego, co dusza potrzebowała kochania. Nie posiadał bujnego, ojcowskiego temperamentu, był przytem chorowity, a zabiegi lekarskie, którym był zmuszony się poddawać, nie przyczyniały się bynajmniej do poprawienia tego stanu rzeczy. Dość powiedzieć, że w jednym tylko roku puszczano mu krew 47 razy, 212 razy brał na przeczyszczenie, a poza tem dostał 214 razy lewatywę! Nic więc dziwnego, że potrzeba uczucia nie objawiała się u niego w formie zmysłowej.

To — na pierwszy rzut oka — szczęśliwe usposobienie kryło w sobie bardzo poważne niebezpieczeństwo dla jego życia wewnętrznego: kochając duszą, zwracał przedewszystkiem uwagę nie na ciało kobiety, a na duszę, co do której miał bardzo wysokie wymagania. Tymczasem nie znajdując kobiet, stojących na odpowiednim poziomie, przeżywał poważne rozczarowania, zgorzkniał i zwątpił w możliwość znalezienia prawdziwego, ciepłego uczucia.

Kochał się przez pewien czas w pannie Hautefort. Przypuszczał, że jej dusza będzie równie piękna, jak ciało. Zawiódł się.

Więc i tym razem rozczarowanie! — Myślał już, że powinien porzucić wszelkie marzenia o miłości, że został mu tylko obowiązek, ciężki obowiązek — panującego. Tymczasem najniespodziewaniej przyszło takie prawdziwe, wymarzone uczucie. Przyszło w postaci młodziutkiej, 16-letniej, uroczej dziewczyny, Ludwiki de La Fayette" [4]).

Wychowana u babki na prowincji, w starym, ponurym zamku, bez zbytków, prawie w niedostatku, nie miała wesołego dzieciństwa. Życie zaczęło się dla niej, gdy przed-

---

[1]) Henryk IV urodził się w 1553 r., umarł w 1610. Panował od 1589.

[2]) Rodzice wielkiego Kondeusza.

[3]) Ludwik XIII urodził się 1601 r., umarł 1643. Panował od 1610.

[4]) Urodzona około 1617 r., umarła 1665.

Dokończenie na str. 20-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 26 — **Niedziela, 26 czerwca 1938** — **Rok IV**

ASY NUMERU 26-GO:



Fot. C. Anders — Paryż.

Nie mogąc brać udziału w „poważnych" zawodach sportowych, młodzież anglosaska wykorzystuje każdą okazję, by zaimprowizować popisy sprawności fizycznej. Oto dwie młode Angielki startują w biegu, urządzonym w swoim prywatnym parku na pięknie utrzymanym trawniku, by stwierdzić która z nich ma większe szanse na przyszłą sławę lekkoatletyki.

WARSZAWSKIE PLACÓWKI DYPLOMATYCZNE. VII.

AMBASADA JAPOŃSKA



Salę ambasady zdobią poza cennemi meblami europejskiemi i saską porcelaną (na kominku) wartościowe obrazy japońskie oraz niezwykle ciekawy parawan. Wszystkie zdjęcia Fot. „AS".



Zaciszny kącik jednego z salonów ambasady.



Na lewo: J. E. ambasador japoński Siuici Sako w galowym mundurze dyplomatycznym, na którym widoczne są wyszywania w postaci kwiatu Paulowni.

Tak bardzo od siebie odległe kraje, jak Japonja i Polska, odległe o tysiące kilometrów, rozdzielone całym kontynentem azjatyckim, mają jednak wspólną cechę geograficzno-polityczną — obie graniczą z ZSSR. To punkt styczny, będący podstawą współpracy politycznej, to również punkt wyjścia podobieństwa zadań. Rozumiał to Marszałek Piłsudski już wtedy, gdy odrodzenie niepodległości Polski pozostawało jeszcze w sferze Jego najszczytniejszych marzeń i dążeń. Jeszcze przed wojną światową był w Japonji, tam właśnie szukając zrozumienia dla sprawy polskiej.

Gdy wreszcie nam tę niepodległość wywalczył, odrazu postarał się o nawiązanie kontaktu dyplomatycznego z Japonją, wysyłając tam misję pod wodzą min. Józefa Targowskiego, a potem delegując jako posła min. Stanisława Patka.

Japonja nie pozostała nam dłużna i wkrótce przysłała swego pierwszego przedstawiciela. Już w czerwcu 1919 r. przybył do Warszawy kpt. Masataka Jamawaki, oficjalnie, jako japoński oficer łącznikowy przy Naczelnem Dowództwie Wojsk Polskich. Ciekawe, że gdy wrócił do Japonji po dwuletnim pobycie w Polsce, został po 15 latach do nas skierowany ponownie już w randze generała i attaché wojskowego przy poselstwie japońskiem w Warszawie.

Pierwszym posłem japońskim w Warszawie był p. Tositsuna Kawakami, który wręczył swe listy uwierzytelniające 18 maja 1921 r. Następcą jego po dwóch i pół latach, a dokładnie 15 listopada 1923 r. został p. Naotake Sato, jeden z najwybitniejszych dyplomatów japońskich, którego później mianowano stałym delegatem Japonji przy Lidze Narodów, potem ambasadorem w Paryżu. Uzyskał najwyższe godności dyplomatyczne. Mieliśmy zaszczyt gościć go w Warszawie około 5 lat. Dnia 11 lutego 1928 został akredytowany jego następca p. Madzime Matsusima, po nim zaś 1 lipca 1931 r. p. Hirojuki Kawai, który po dwu latach pobytu u nas zmarł, złożony ciężką niemocą. Przed śmiercią przyjął chrzest i skonał jako katolik. Następcą jego, a zarazem ostatnim przedstawicielem Japonji w Polsce w randze posła był od 8 stycznia 1934 r. p. Nobubumi Ito, żonaty z Francuzką. Pani Andrée Ito była bardzo miłą i sympatyczną Paryżanką, w dodatku wielce utalentowaną literatką i poetką. Jej wiersze były drukowane w dziennikach polskich. Gromadziła chętnie u siebie polskie sfery literackie.

Nowa era japońskiego przedstawicielstwa w Polsce rozpoczęła się od chwili podwyższenia jego rangi do godności ambasady. Pierwszym amabasadorem został p. Siuici Sako, który wręczył listy uwierzytelniające dnia 10 listopada 1937 r. Piastuje swój urząd i obecnie, wysoce ceniony przez sfery urzędowe i towarzyskie. Jest to młody jeszcze człowiek, liczący lat 50, którego karjera ostatnio szła bardzo szybko. Jeszcze nie tak dawno był radcą ambasady w Moskwie. Potem zaledwie rok posłem w Helsinkach i zaraz potem został ambasadorem w Warszawie.

Japońskie przedstawicielstwo dyplomatyczne od pierwszej chwili mieściło się w pałacu hr. Przezdzieckich przy ul. Pierackiego 10 (dawniej Foksal), dziś stano-



W kole: Fragment pierwszego przyjęcia w Ambasadzie, na którem zjawił się p. min. Beck z małżonką wraz z całym korpusem dyplom.

wi własność rządu japońskiego. Odbywały się tam liczne przyjęcia dyplomatyczne, a należy przyznać, że rzadko która ambasada czy poselstwo przyjmuje z tak wielkim przepychem i wspaniałością, jak Japończycy. Nietylko dobór potraw jest zawsze niemal bezkonkurencyjny, ale ponadto goście bywają przeważnie obdarzani niezmiernie cennemi upominkami japońskiemi. Podczas japońskich świąt narodowych oraz w dniu Nowego Roku odbywają się przyjęcia jedynie w ściślejszem gronie i wtedy zazwyczaj na stole zjawiają się narodowe potrawy japońskie ,jadane patyczkami. Są tu wszelkie odmiany ryżu, są nieznane u nas jarzyny, jest specjalnie przyprawiana trawa morska i ryby na surowo.

Pokój stołowy ambasady, gdzie te przysmaki są podawane, umeblowany jest w stylu współczesnym. Stół i kredens — dębowe. Na ścianach i suficie boazerja. Powyżej boazerji — złoty brokat. Na kredensie — porcelana saska i rosyjska. U góry — wazy japońskie Nad niemi obraz japoński. Piec z pięknej zielonej majoliki.

Po drugiej stronie korytarza — trzy salony recepcyjne w amfiladzie. Pierwszy — największy — ma ściany błękitne, piękny żyrandol kryształowy, złoty parawan z świetnemi japońskiemi deseniami, dwa piękne obrazy japońskie, oba szkoły współczesnej. Na konsołkach — wazy japońskie. Na marmurowym blacie - zegar i świeczniki z miśnieńskiej porcelany. Złocone mebelki — Louis XV.

Podobny w stylu jest drugi — nieco mniejszy salonik przechodni, gdzie znów widzimy dwa piękne obrazy japońskie, z których jeden wyobraża wodospad Kejgon, a drugi — krajobraz z okolic Kjoto. Ani jeden z nich nie jest wszakże malowany, lecz oba niezmiernie misternie haftowane na jedwabiu.



Powyżej: Oryginalny w kompozycji obraz japoński świetnie harmonizuje z antycznemi stylowemi meblami europejskiemi.



Na prawo: Wspaniały haft, przedstawiający wodospad Kejgow, wykonany na jedwabiu reprezentuje godnie japońską sztukę.

Wszystkie zdjęcia Fot. „AS".

Trzeci wreszcie zkolei, najmniejszy, jest całkowicie utrzymany w stylu jak najbardziej nowoczesnym. Długa kanapa składa się z kilku poduszek. Barwy poszczególnych poduszek stanowią szachownicę żółto-błękitną. Tuż obok szafka, która — w razie potrzeby zamienia się w... bar....

Na piętrze mieści się imponująca sala balowo-koncertowa, w której odbywają się również seanse kinematograficzne. Po drugiej stronie korytarza — gabinet ambasadora, a zarazem bibljoteka. Biurko i półki do książek — hebanowe. Meble w typie stylizowanego Louis-Philippe, wyścielane seledynowym jedwabiem.

Poniżej od lewej: Wśród zbiorów sztuki p. ambasadora zwraca uwagę ciekawy model kostjumu Japonki tańczącej „Fuzi-Musune". — A oto wierny model zbroi samuraja z XV. wieku.





Tuż obok salonik z pianinem, a na niem oszklony model panny japońskiej, w tańcu „Fuzi-musune". Na postumenciku również oszklony model zbroi samuraja z XV w. Salonik posiada obicia z czerwonego sukna nad białą boazerją. Meble wyściełane są czerwonym jedwabiem w kwiaty.

Prześlicznie bywa w ambasadzie japońskiej, gdy na przyjęcia panie Japonki przybywają we wzorzystych kimonach. A cerę mają wszystkie zdumiewająco piękną. Czy to właściwość przyrodzona, czy też nieznany kunszt „robienia sobie twarzy" — nie umiałbym powiedzieć. Ale u żadnej europejki tak jedwabistej cery nie widziałem....

H. L.



Na lewo: Olbrzymie paprocie-drzewa stanowiły bardzo charakterystyczne okazy flory antydyluwjalnej.

„CUDOWNY KWIAT PAPROCI"

Zbliża się tajemnicza, czerwcowa, świętojańska noc, owiana czarem legend i baśni, najkrótsza noc w roku. Od najdawniejszych czasów w świętojańską noc zapalały się ogniste języki sobótek, rozświetlając jej mrok i płynęły pod niebo pieśni na cześć potężnych bóstw.

W świętojańską noc Przyroda ma nabierać cudotwórczej mocy. Dziać się mogą wtenczas dziwne rzeczy, można zdobyć i szczęście i bogactwo, mądrość i miłość, trzeba tylko umieć je znaleźć i trzeba się odważyć sięgnąć po nie.

W burzliwą, parną noc, w ciemnym lesie, zakwita cudowny „kwiat" paproci. Kto ten kwiat znajdzie, stanie się panem wszelkich tajemnic, zdobędzie wszechpotężną moc i wszechwiedzę. Wszystkie jego najtajniejsze i najgorętsze pragnienia mogą się spełnić w tej cudnej właśnie nocy. W ciemnym lesie czekają na śmiałka, któryby odważył się na zerwanie kwiatu paproci, nieczyste moce djabelskie i w każdej chwili grożą mu śmiercią i zagładą.

Cudowny kwiat paproci ma zakwitać w wigilję św. Jana Chrzciciela i to niemal o samej północy. Ciemności lasu rozświetlają błyskawice, bo zwykle w noc tę zrywa się burza z grzmotami i piorunami i z tego światła jedynie korzysta ten, kto odważył się szukać szczęścia. Kwiat kwitnie tylko przez chwilę i niemal momentalnie wytwarza się z niego owoc, który spada na ziemię z taką mocą, że nikt nie jest wstanie chwycić go w rękę, można go jednak zdobyć, jeżeli podstawi się podeń czarną jak węgiel kozią skórę.

Ciężko zdobyty kwiat paproci, zakwitający w świętojańską noc nie na długo zdobywcy przynosi szczęście. Zwykle ginie w jakiś tajemniczy sposób i dawny jego właściciel czuje się jeszcze bardziej nieszczęśliwy, aniżeli wtenczas, gdy nie znał jeszcze jego cudownego działania. To też mało kto odważy się na szukanie i zerwanie owego kwiatu, ukazującego się tylko na chwilę w tę jedyną noc świętojańską.

Legenda o kwiecie paproci poszła prawdopodobnie stąd, że dziwnem wydawało się ludziom, iż w okresie, gdy tak wiele roślin wydaje kwiaty a po nich owoce i nasiona, gdy życie ich jest bujne i w całej pełni rozwoju, wielkie ziele paproci nie kwitnie. Sądzono, że paproć wydaje kwiat, lecz ponieważ ma on nadzwyczajną i nieziemską moc działania cudów, kryje go zazdrośnie przed okiem ludzkiem.

W rzeczywistości paproć, która w naszym klimacie jest trwałą rośliną zielną, czyli byliną, należy do roślin rozmnażających się przez zarodniki. Tworzą się one na spodniej stronie jej powycinanych liści, w zarodniach, które u wielu paproci są doskonale widoczne w postaci kulistych, brązowych jakby plamek. Gdy zarodnie te dojrzeją, pękają, a z ich wnętrza wysypuje się delikatny, brunatny proszek, składający się z mnóstwa jednokomórkowych zarodników.

Ponieważ są one bardzo lekkie, wiatr unosi je z łatwością, a gdy padną na podatny grunt, kiełkują w postaci maleńkiego zielonego jakby listka w kształcie serduszka. Delikatnemi chwytnikami przytrzymuje się on podłoża, z którego czerpie potrzebne do życia mineralne soki. Na jego spodniej stronie



Z niepozornego zielonego przedrośla wyłania się młoda paproć, posiadająca listki i korzonek. Gdy osiągnie już „samodzielność" przedrośle zamiera.
„Koralle".



W kole: Do dziś dnia niektóre okolice Afryki posiadają olbrzymie paprocie (asplenium nidus).

wytwarzają się specjalne narządy, służące do dalszego rozmnażania. Są to zagłębione w zielony miąższ, mikroskopijnej wielkości flaszeczkowate rodnie, zawierające wewnątrz nieruchomą komórkę jajową, oraz buławkowate plemnie, wypełnione dużą ilością ruchliwych plemników, posiadających rzęski.

Z odrobiną wilgoci, bodaj kropelką srebrzystej rosy, przenika plemnik do komórki jajowej, z którą ściśle się zlewa. W ten sposób powstaje zarodek, z którego wyrasta nowa roślina. Początkowo jest ona maleńka, ma jednak już korzonek, który ją nietylko przytwierdza i umacnia w podłożu, lecz także odżywia przez wciąganie odpowiednich soków. Z czasem wyrasta ona w piękną paproć o dekoracyjnych liściach, misternie powycinanych. Młode listki paproci wyglądają nieco odmiennie, aniżeli już wyrośnięte. Są one zwinięte ślimakowato, przypominając swym wyglądem biskupie pastorały i pokryte brunatnemi włoskami. Nie jest to dla nich bez znaczenia. Przy wychodzeniu z ziemi łatwiej się przez nią przebijają, nie ulegając uszkodzeniu i nie tracą zbyt szybko wody przez parowanie. Zielone liście służą paproci nietylko do odżywiania się, ale także do oddychania, parowania, a wreszcie i rozmnażania, gdyż znowu na ich spodniej stronie wytwarzają się zarodnie z ukrytemi wewnątrz zarodnikami.

W ten sposób powtarza się cykl życiowy. Mówimy, że paproć cechuje przemiana pokoleń. Jedno z nich występuje w postaci pięknych, okazałych liści, drugie zaś jest maleńkie i niepozorne, jakgdyby serduszkowaty listeczek.

Paprocie należą do roślin lubiących cień i jako takie, stanowią ważny składnik podszycia leśnego, rozwijając się dobrze na bogatem, próchnicowem podłożu. Te, które u nas rosną, jakkolwiek są roślinami trwałemi dzięki podziemnym kłączom, jednak na zimę utracają swą zieleń, podczas gdy w tropikalnych lasach utrzymują się przez cały rok równie piękne i osiągają postać drzewiastą.

Olbrzymiemi drzewami były paprocie niegdyś, przed wielu miljonami lat, w czasie t. zw. węglowej epoki, kiedy doszły do szczytu swego rozwoju. One to nadawały ton i charakterystyczny rys florze karbońskiej, która dała początek węglowi — zwanemu która dała początek węglowi. Świadectwem ich wielkiej, twórczej roli w powstawaniu węgla są liczne odciski rozmaitych części, zachowane na węglu.

Z. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Na „Dni Krakowa" poczta polska nie wydała jeszcze nigdy znaczków propagandowych, a wiele wspaniałych arcydzieł architektury naszego miasta powinno już było oddawna znaleźć się w formie reprodukcji w „obrocie filatelistycznym".

Rumunja natomiast wykorzystała „luna bucurestilor", aby emitować dobroczynny znaczek za 6+1 lei, w kolorze czerwono-lila. Egzemplarz ten wykonany heljograwurą, powinienby raczej przedstawiać charakterystyczne dla stolicy Rumunji gmachy, bo dla obcokrajowca zestawienie mało wyraźnych tarcz herbowych bardzo niewiele mówi.

Sytuacja polityczna w Czechosłowacji nie przedstawia się pomyślnie dla naszego sąsiada, ale nie można odmówić Czechom sprytu w zjednywaniu sobie możnych przyjaciół. Umieli oni przypomnieć Włochom i Francuzom, że w wojnie światowej czeskie legjony brały udział w bitwach pod Doss Alto i Vouziers — wydając dwa znaczki, przedstawiające czeskich żołnierzy z owych lat. Na marginesach tych znaczków jest, jak zwykle w Czechosłowacji, piękna winieta, przedstawiająca hełm szturmowy i nazwy innych miejscowości we Francji i Włoszech, gdzie przed 20-tu laty brały udział czeskie wojska. Również Finlandja wydała oryginalny zresztą znaczek w dwudziestolecie odzyskania niepodległości, tutaj jednak wojak



Najnowsze znaczki: (od góry) Rumunji, Czechosłowacji, Finlandji (środkowy w trzecim rzędzie) oraz serja znaczków holenderskich, wydana na cele Opieki Społecznej.

finlandzki nie przedstawia się bardzo groźnie. Znaczek za 2 m (dopłata dobroczynna 0.50 mk), wykonany jest heljograwurą w kolorze niebieskim 25×35 mm.

Doroczna serja znaczków dobroczynnych Holandji („latowa", jak ją nazywa znana polska firma), jest bardzo podobna do tej samej emisji w latach poprzednich. Teraz oczywiście figurują na znaczkach inne postacie, ale z pośród nich tylko Rembrandt znany jest bliżej jako jeden z najwybitniejszych malarzy wszystkich czasów. Inne osobistości, to: M. v. Sintaldeconde (1.5 c.), O. Heldring (3 c.), Maria Tesselschade (4 c.) i H. Oerhaave (12.5 c.). Format 24×32 mm.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. L. ZARZYCKI, WARSZAWA. Dziękujemy za wyrazy uznania, do sprawy poruszonej przez WPana powrócimy jeszcze niejednokrotnie. Kopertę zwrócimy.

JE-WICZ NA WILEŃSZCZYŹNIE. Przesłana odbitka nie ma żadnej wartości filatelistycznej. Były to typowe oszukańcze znaczki dla nieistniejącego państwa Białorusi, dwukolorowe, a odbitka jest tylko jednobarwną częścią całego egzemplarza.

El Dorado — A. D. 1849

San Francisco! Dziś przybył z Francji statek. Na pokładzie jego przyjechało 15 dziewcząt. Całe miasto mówi tylko o tem.

W San Francisco było dotychczas zaledwie kilkanaście kobiet i zgórą 80 tysięcy mężczyzn. Przed paru dniami wiele statków odpłynęło do Chile, po emigrantki, aby jak najspieszniej zmniejszyć tę rażącą dysproporcję płci.

Piętnaście nowych kobiet! I do tego Francuzek! Gdy dziewczęta wychodziły z czółna na brzeg — przyglądano im się, jak zjawisku. Tłum poprostu zbaraniał na widok kolorowych fatałaszków, koronek, falbanek i loczków. Uwodzicielki udały się do domu zajezdnego, strzelając na lewo i prawo oczami. Nie zdawały sobie sprawy, że mogły wywołać burzę. Do hotelu doszły tylko dwie! Resztę porwano po drodze.

W tym dzikim kraju kobieta jest równie poszukiwana jak złoto, lecz o wiele od niego rzadsza. Niema w tem zresztą nic dziwnego. Stare poczciwe San Francisco liczyło sobie 460 mieszkańców, by w dwa lata po odkryciu złóż złota urosnąć do 40 tysięcznego miasta-osady. Dziś ma ono 80 tysięcy obywateli. San Francisco stało się Eldoradem całego świata — rajem bez kobiet.

Przybyłem do San Francisco przed dwoma laty. Było to już wtedy duże miasto. Pociągnęła mnie tu, jak zresztą całą tę falę ludzką, która zalała Kalifornję — gorączka złota. Myślałem, że zrobię fortunę, że wykopię ją i wypłóczę z ziemi. Dziś złoto Kalifornji płynie do mej kasy z rąk tych szaleńców, co tu przybyli ze wszystkich stron świata, by pracować w pocie czoła w „Widłach Ameryki".

* * *

Dnia 16 września 1847 r. Amerykanie zwyciężywszy Meksyk, wkroczyli do stolicy tego kraju. Dnia 2 lutego 1848, po trzymiesięcznych układach został podpisany traktat — mocą którego Nowy Meksyk i Nowa Kalifornja przeszła na własność Unji za cenę 15 miljonów dolarów. W kilka dni po podpisaniu powyższej transakcji w Guadelupe — Hidalgo, dokonano odkrycia olbrzymich pokładów złota na nowych ziemiach Unji, na farmie kapitana Suttera.

Sutter — Szwajcar z pochodzenia, służący w gwardji królewskiej przed rewolucją 1830 r. — wyemigrował do Ameryki. Przez kilka lat przebywał on w Missouri, następnie w Oregonie, przebył Góry Skaliste, był na wyspach Sandwich i wreszcie w roku 1839 osiadł na stałe w Kalifornji, gdzie od ówczesnego gubernatora — wielkiego propagatora idei kolonizacyjnej, otrzymał 30 mil kw. ziemi po obu brzegach Sacramento, w okolicach t. zw. „Widłów Ameryki".

Na ziemi tej Sutter sprawował władzę ustawodawczą, sądową i wykonawczą. Wybudował on przy pomocy Indjan twierdzę, która stała się zarodkiem osady, nazwanej później Sutterville.



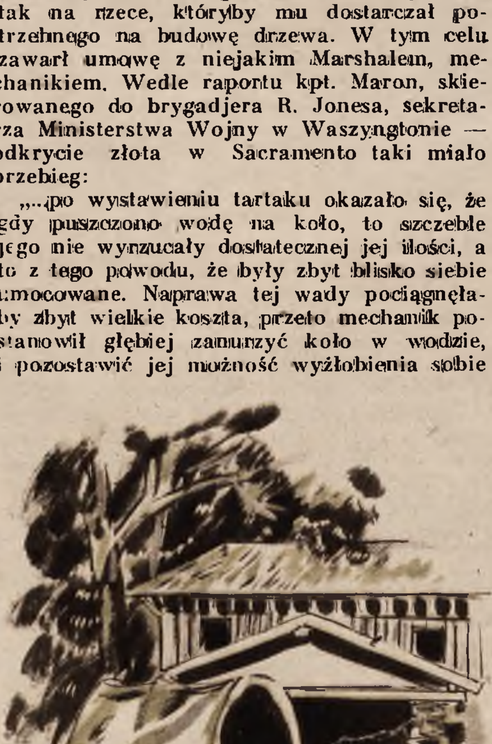
KARTKI Z PAMIĘTNIKA POSZUKIWACZA ZŁOTA

Powyżej: San Francisco w r. 1847.

TEKST I ILUSTRACJE J. M. BRZESKI

Sutter, posiadający na swych terenach piękne lasy sosnowe, postanowił założyć tartak na rzece, któryby mu dostarczał potrzebnego na budowę drzewa. W tym celu zawarł umowę z niejakim Marshalem, mechanikiem. Wedle raportu kpt. Maron, skierowanego do brygadjera R. Jonesa, sekretarza Ministerstwa Wojny w Waszyngtonie — odkrycie złota w Sacramento taki miało przebieg:

„...po wystawieniu tartaku okazało się, że gdy puszczono wodę na koło, to szczeble jego nie wyrzucały dostatecznej jej ilości, a to z tego powodu, że były zbyt blisko siebie umocowane. Naprawa tej wady pociągnęłaby zbyt wielkie koszta, przeto mechanik postanowił głębiej zanurzyć koło w wodzie, i pozostawić jej możność wyżłobienia sobie ujścia. Wskutek tego w przeciągu kilku dni na dnie spadku nagromadził się piasek, w którym Marshal — badając skutek swej poprawki spostrzegł błyszczące kamyki, które okazały się czystem złotem".



...pakowali dobytek i ruszali w stronę Sacramento.

Marshal zwierzył się kapitanowi Sutter ze swego odkrycia, poczem obaj przyrzekli sobie zachować w tajemnicy odkrycie. — Nie na wiele jednak zdało się to; wkrótce inni odnaleźli błyszczące kamyki i magiczne słowo poniósł wicher w szeroki świat.

Zrazu była to jedynie „plotka", która zwabiła na tereny Suttera najśmielszych mieszkańców San Francisco i Monterey. Dopiero oficjalne raporty, ogłoszone przez pułkownika Maron, kapitana Tolson i konsula Francji Moerenhout — wstrząsnęły światem i odsunęły wszelkie wątpliwości. Na Kalifornję runęła ludzka powódź.

W r. 1802 ludność biała Kalifornji wynosiła 1.300 osób. W r. 1842 było jej już 5.000. Na początku 1848 r. doszła do 14.000. Dnia 1-go stycznia 1849 r. liczba ta wzrosła do 28.000, 11-go kwietnia do 33.000, 1-go grudnia do 58.000. Po kilku miesiącach przybyło 3.000 Meksykanów z Sonory, 2.500 białych z Santa Fe i 30.000 wychodźców z północy. Wreszcie w r. 1850 ludność wynosiła 120.000. Kalifornja została odkryta po raz pierwszy przez Corteza w r. 1535. Od tego czasu „odnajdowano" ją wielokrotnie, najważniejszym jednak i decydującym dla rozwoju tego kraju będzie bezsprzecznie odkrycie złota przez Marshala.

* * *

Kiedy stanąłem na lądzie amerykańskim, wszystkie plany, jakie snułem o zdobyciu majątku w kopalni nad Sacramento, wydały się dziwnie nie rzeczywiste. Wszystko począwszy od krajobrazu, a skończywszy na cenach produktów spożywczych — sprawiło mi zawód. Osada, zwana San Francisco, rozrastająca się w niebywałem tempie, sprawiała wrażenie chaotyczne, tymczasowe i nieprzyjemne. Ceny, które zastałem, przekonały mnie, że o wyruszeniu do złotodajnych placerów marzyć na razie nie mogę. Aby wyjechać do Sacramento, trzeba było być bogatym, utrzymanie zaś w mieście też nie należało do łatwych: funt mięsa kosztował 5 franków *), chleb 30 sous, komorne za pokoik wynosiło miesięcznie 500 franków. Za wynajęcie małego domku (kilka metrów w kwadracie) trzeba było płacić 3.000 franków miesięcznie. I mówiono jeszcze, że ten, komu uda się wynająć, jest szczęściarzem... Jedyną rzeczą, którą można było dostać tutaj prawie za darmo, była ziemia.

Posiadałem trochę oszczędności. Nie wiem, jak to się stało, że kupiłem ziemię. Olbrzy-

*) W owych czasach frank francuski równał się 1/5 dolara.

nia połać, położona w bezpośredniem sąsiedztwie miasta i portu stała się moją własnością. Za ostatnie centy wbiłem graniczne paliki i zostałem bez dachu nad głową i jednego franka w kieszeni. Złotodajne „Widły Ameryki" stały się równie dalekie, jak przed wyjazdem z Europy.

Noc po mojej transakcji gruntowej spędziłem pod gołem niebem, okryty kocem. Zmarzłem okropnie. — Rano obudziłem się głodny. Padał deszcz. Zły i zmaltretowany postanowiłem czemprędzej sprzedać moją parcelę i w tym celu pobiegłem do miasta. Jednak nikt nie interesował się moją propozycją, poprostu wyśmiano mnie. Mówiono. „Ziemi jest dość! Poco mamy ją kupować, kiedy trochę dalej rozdają ją za darmo". Gdy szedłem ponury przez miasto, zaczepił mnie jakiś człowiek.

— Źle — widzę, z wami?

— Tak myślę! Jestem bez pieniędzy.

— A więc boicie się pracy?

— Nie wiem, czy mojej potrzebują...

— Och znajdzie się jej dość dla was i dla wielu jeszcze innych.

Nieznajomy zaintrygował mnie. Gorąca zupa i kawałek mięsa stały się czemś realniejszem.

— Słuchajcie, — mówił nieznajomy — musicie być tu „nowym", skoro nie widzicie, co się naokoło święci. Przecież tu brak ludzi do pracy. Możecie pracować wszędzie. Nie potrzeba znać jakiegoś rzemiosła. Tragarze np. też są potrzebni i wysoko płatni. Jest tu w San Francisco pewien Niemiec, zbyt stary, aby wyruszyć do kopalni, który wybudował sobie pod miastem przestronny szałas i zajmuje się przechowywaniem paczek, pozostawionych przez robotników. — Niemiec bierze 2 piastry za małą, a 4 za dużą paczkę i zarabia 1.8000 fr. miesięcznie. Co?... Wcale niezły interes?... Złoto ściągnęło tu ludzi. Szybko okazały się różne braki i potrzeby, które czemprędzej trzeba było uzupełniać i zaspokajać. Kiedy ludzie Suttera przybyli do San Francisco po raz pierwszy po narzędzia i opowiadali o skarbach Sacramento — nie wierzono im. Dopiero, gdy inni w pośpiechu robili podobne zakupy i czemprędzej wracali do doliny, szał opanował miasto. Nie można było znaleźć robotników i rolników. Wszyscy wyruszyli do Sierra Nevada. Łopaty, motyki, rondle, misy gliniane, butelki, tabakierki, a nawet retorty wyniesiono z miasta. Właściciele nieruchomości, adwokaci, dozorcy, mechanicy — wszyscy dosłownie w całej okolicy wyjechali do kopalń. Dzienniki przestały wychodzić. Ochotnicy z pułku nowojorskiego zbiegli. Okręty rządowe traciły załogę. Ci robotnicy, którzy pozostali, kazali sobie płacić po 100 franków dziennie. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Aby mieć służącego, trzeba było zarabiać 600 franków dziennie. Tłumy napływowych rosły z dnia na dzień. Wielki ich procent wyjeżdżał do kopalń, ale część pozostawała, chcąc jeść, spać i kupować. A tu wszystkiego brakowało. Okoliczne folwarki przestały dostarczać produktów — pozostały w nich bowiem tylko kobiety i dzieci. — Farmerzy pracowali w kopalni. Drogi, prowadzące do „Goldregionu", zawalone końmi i furami, stały się widomym znakiem tego potwornego wstrząsu, jaki przeżywała Kalifornja. Kiedy kapitan Manraz z ładunkiem afrykańskim przybił do naszego portu — wydało mu się, że nad miastem przeszła zaraza. Na wybrzeżu i w porcie nie było nikogo. Napotykany w barce Meksykanin wyjaśnił kapitanowi: poszli po złoto do dolin, gdzie tylko schylić się trzeba, by brać pełnemi garściami. — W dziesięć minut na statku nie było nikogo. Kapitan sam rzucał kotwicę i cumował statek. W tych czasach Neilly Crowly wraz z sześciu ludźmi zebrał w 6-ciu dniach 10 funtów złota. Vaca z Meksyku, mając czterech ludzi, wypłókał w tygodniu 17 funtów złota. Norris, sam jeden, z jednej żyły otrzymał 11 funtów...

Słuchałem oczarowany, mężczyzna zaś ciągnął dalej.

— Stopniowo miasto stawało się coraz gwarniejsze, górnicy wracali jako bogacze, szukając rozrywek po swej pracy, lub otwierając własne przedsiębiorstwa. Wróciłem wraz z nimi. Przywiozłem spory worek piasku. Zdawałem sobie sprawę, że to cały mój majątek, który stanowić będzie o mej przyszłości. Zabrałem się więc do pracy, złoto dobrze ukrywszy.

Rozmawiając, szliśmy ulicami San Francisca. Mężczyzna nazywał się August Trevor i pochodził, jak i ja, z Francji. Polubił mnie widocznie, gdyż wkrótce po poznaniu pożyczył mi 100 franków.

— Jak tylko zarobicie, oddacie mi — powiedział.

Udałem się do portu, gdzie zatrudniono mnie jako tragarza. Ruch okrętów był ogromny. Pierwszego dnia zarobiłem 15 piastrów, to jest przeszło 75 franków. W Paryżu zarobiłbym najwyżej 3—4 fr. Następne dni przynosiły mi po 20—22 piastrów zarobku. Pieniądze pożyczone od Trevora oddałem, sporo sobie jeszcze odkładając. Z Augustem spotykaliśmy się często. Któregoś dnia powiedział mi on:

— W koło stoją wielkie lasy — jeżelibyś chciał zmienić rodzaj pracy, to będę brał od ciebie drzewo po 100 piastrów za sążeń...

Po dwóch dniach razem z jakimś adwokatem Niemcem przystąpiliśmy do wyrębu lasu. Temi czasy w koło stała puszcza. Dziś nie istnieje ona, a jedyne ślady, które po niej pozostały, to nieliczne kępy drzew, rozrzucone tu i ówdzie.

Po paru tygodniach zwierzyłem się Augustowi, że posiadam uskładanych 900 piastrów i że chcę wyjechać za te pieniądze do kopalń.

— Nie radzę ci — mówił Trevor, — tam trudno jest trafić na bogatą żyłę. To stawka na loterji, a przytem jest tam ogromna konkurencja ludzi nieprzebierających w środkach.

Byłem jednak uparty. Pożegnałem Trevora. Kupiłem potrzebny ekwipunek i wsiadłem na statek, który mnie przewiózł za 15 piastrów przez zatokę San Paulo, zlew Sacramento i San Joaquin do nowopowstałego miasta Stockton. Tam kupiłem muła i żywność. Kosztowało to majątek, bo aż 350 piastrów. Udałem się do Mormon Diggins. Miałem ze sobą karabin i pistolety. Po drodze polowałem, uzupełniając w ten sposób moje zapasy. W pięć dni po wyruszeniu ze Stockton, przybyłem do Sonory. W Passo del Pinto skierowałem się do alkada, który odmierzył moją działkę. Następnego dnia zacząłem kopać, po pięciu dniach odnalazłem czerwoną ziemię, zwiastującą obecność złota, po tygodniu wypłókałem piasku za 30 piastrów...

Zwinąłem obóz i ruszyłem w stronę Sierra Nevada. Pierwszemu spotkanemu po drodze kopaczowi zaproponowałem wspólną wędrówkę. Zgodził się. Od tego czasu raźniej mijały godziny.

W Sierra Nevada, na wysokości 3.000 stóp rozłożyliśmy się na noc obozem. Przy ogniu naradzaliśmy się nad szczegółami dalszej drogi, gdy nagle doszły nas dziwne odgłosy, które okazały się wyciem wilka. Nie było to przyjemne, ale jakoś doczekaliśmy się brzasku i ruszyliśmy w dalszą drogę. W dole rzeki Murfys zaczęliśmy kopać. Żwir był obiecujący, po sześciu godzinach pracy otrzymaliśmy złota — wartości 100 franków.

Nareszcie byłem u celu. Ja i mój towarzysz byliśmy w najlepszych nastrojach. — Wesoło omówiliśmy plan robót na następn dni, poczem zająłem się obozem, mój zaś towarzysz poszedł po drzewo. Po jakimś czasie zauważyłem, że powraca, ale bez kłód na ognisko, stąpając bardzo uważnie.

— Wilki otoczyły nas — wyszeptał, gdy zbliżył się ku mnie.

— Co takiego?

— O sto kroków zobaczyłem wilka, jak szedł do strumienia. Gdy baczniej rozejrzałem się w koło, okazało się, że jest ich całe stado...

Noc zeszła nam na czuwaniu. Baliśmy się o nasze muły, które okazywały największy niepokój. Pobyt tu okazał się niemożliwy. Wilki mogły którejś nocy napaść na nas. O opuszczeniu złotodajnych terenów zdecydował ostatecznie czarny niedźwiedź, którego zobaczyliśmy nazajutrz. Uniknął on naszych kul, dzięki legendzie Indjan, którzy mówią, że ranione zwierzę wraca do swych towarzyszy, by razem z nimi powrócić i pomścić się na myśliwych.

Zawróciliśmy do Passo del Pinto. W kilka dni po przybyciu mój towarzysz zachorował. Musiałem wezwać lekarza, który za wizytę i proszek chininy zażądał 2 uncje złota. Już sięgałem po pistolet, gdy pomyślałem o swej przyszłości. Amerykanin odszedł z złotem, nie ukarany za swoją grabież.

Ale oto inny przykład panujących tam stosunków: Kilkudziesięciu Francuzów postanowiło zmienić bieg rzeki dla osiągnięcia dobrych rezultatów w płukaniu złota. Podczas 4-miesięcznej pracy zużyli oni wszystkie zapasy i gotówkę, kiedy zaś mieli już zebrać plony swej pracy, Amerykanie zgłosili pretensje do Passo del Pinto, twierdząc, że jest to ich kraj i rzeka i że oni mają do niej wyłączne prawo. Amerykanie zażądali, aby usunięto się z terenu, gdyż w przeciwnym razie użyją broni. Francuzi wyemigrowali, wieść jednak o tem rozeszła się po okolicy i spowodowała, że ziomkowie pokrzywdzonych przybyli do Passo, i w nocy zburzyli zaporę. W ten sposób nikt nie skorzystał z wielomiesięcznej pracy, która, być może, przyniosłaby miljonowy zysk.

Ja, wraz z mym towarzyszem wróciłem do Sonory. W kilka dni dokopawszy się złotodajnej ziemi, wypłókaliśmy kruszcu wartości 8 piastrów, ja zaś znalazłem bryłkę, ważącą prawie 12 uncyj... To już było coś! Następne trzy dni pracy przyniosły złota za 6 tysięcy fr. Zanosiło się na to, że wrócimy do San Francisco, jako miljonerzy.

Po sześciu jednak dniach rozlepiono okólnik, nakazujący wszystkim obcokrajowcom złożyć po 20 piastrów od robotnika, pracującego w dole. Kiedy następnego dnia przybyli uzbrojeni poborcy amerykańscy, odmówiono opłat. Do Francuzów w liczbie stu przyłączyło się parę tysięcy Meksykanów, którzy zaproponowali stworzyć siłę zbrojną z tem, że Francuzi obejmą wyższe stanowiska. Ci jednak bojąc się, że Meksykanie w chwili decydującej ustąpią, i że cała odpowiedzialność spadnie na nich — nie zgodzili się na tę propozycję.

Od tego dnia — w placerach Sonory zapanowało piekło. Codzień zabijano kogoś. Amerykanie bez pardonu wystrzałem z rewolweru mordowali każdego pracującego w dole. Meksykanie, którzy twierdzili, że również, jak Amerykanie, są właścicielami tej ziemi, zbliżali się do pracujących, jako przyjaciele, wypytując o wydajność działki, by po chwili, znienacka zadać cios nożem. W taki sposób i nas chciano wysłać na tamten świat. Zdążyłem jednak ubiec rzezimieszków i wystrzałami z pistoletu powaliłem obydwóch.

Z Mormons, Murfys, Jamestown i Jaksonville przybyli Francuzi na pomoc swym rodakom. Amerykanie też wzmocnili swe oddziały. Zapowiadała się walka na śmierć i życie. W miejscu zbiórki Francuzów, gdzieśmy przybyli, zgromadziło się 700 ludzi, którzy obwarowali się i ukryli w gęstwinie. Noc minęła na czujnej uwadze.

Nazajutrz liczny oddział Amerykanów zbliżył się ku naszym pozycjom i zaatako-

dalszy ciąg na str. 24-ej.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

HISTORJA JEDNEJ MOTORÓWKI

NOWELA

Pewnego dnia opadły ze mnie wszelkie obowiązki. Byłem wolny. Ów niezwykle miły stan, określiło Ministerstwo Spraw Wojskowych jako „stan spoczynku“. Miałem lat 34, zdrowie, dzięki Bogu, wcale niezłe i mogłem robić co mi się podoba. Właśnie zastanawiałem się z żoną nad tem, co się nam będzie podobało, bo lato było tuż za pasem, gdy przyszedł do nas w odwiedziny nasz kuzyn. Był widocznie do głębi wzruszony. Zaraz na wstępie oświadczył, że ma dla nas nadzwyczajną niespodziankę. Poprostu cud.

— Pomyślcie — mówił — motorówka! Łódź sama, nie przeczę, wymaga pewnego remontu, ale zato motor!... Zresztą szkoda mówić, poprostu brylant sklejony z wysokowartościowych metali. Cena? — Śmieszne grosze! Pięćset złotych! Lecz musicie się decydować natychmiast, zaraz zmiejsca, gdyż mam na nią już i innych reflektantów.

— Czy to ty sprzedajesz? — zapytałem.

— Nie! Tylko pośredniczę, ale możesz mi wierzyć...

Wierzyłem. Uwierzyłbym zresztą nawet djabłu, taki we mnie strzelił piorun. W głowie zaświtał plan, plan przez wielkie „P“. Było to coś, jakby jasnowidzenie wodza: Wisłą aż do Modlina, potem Bugo-Narwią i Bugiem wgórę po Brześć. Dalej już Jasiołdą na Pinę... W oczach zamajaczyły mi obrazy Polesia. Zielone pobrzeża, wyspy z traw zawodnie szmaragdowych, gładkich i obiecujących odpoczynek, a falujących razem z wodą przy zbliżaniu się łodzi. Wąwozy szuwarów na wąskich kanałach pośród zatopionych lasów, nocne biwaki po łachach piaszczystych... Czarne chmury kaczek o świcie. Olbrzymie wąsate ryby zabłąkane tutaj w czasie wędrówek aż z Czarnego morza. A wszystko w parze gorącego powietrza, rozpalone aż do żaru, dalekie, a bezgranicznie swobodne. Egzotyka polskiej Amazonki-Prypeci. Potem znów zaczęły się snuć w wyobraźni widoki jezior litewskich. Więc chyba kanałem Ogińskiego wgórę, aż do Niemna?...

Popatrzyłem na żonę, żona na mnie. Bez słowa zaczęliśmy się ubierać.

— Co? Dokąd? — zapytał kuzyn.

— Oglądać łódź! — krzyknąłem w odpowiedzi.

Poszliśmy.

Łódź leżała na podwórzu pewnego warsztatu automobilowego, w którym chwilowo urzędował, jakoże prawnik z zawodu, nasz kuzyn. Łódź była rzeczywiście piękna w kształcie, ale nie wyglądała zbyt zachęcająco: dychta dna była mocno zetlała i w dziurach. Ale zato motor!... Isotta Fraschini, choć tylko jednocylindrowa, przyczepna, posiadała przecież de nomine siłę pięciu koni, a więc najzupełniej do naszych celów dostateczną. Pięknie lśniła nad zbiornikiem błękitnie emaljowana pokrywa tarczy rozpędowej. Motor był przymocowany do beczki z wodą, propellerem, rzecz jasna na wewnątrz. Miał w beczce pokazać — co umie. Z racji uszkodzenia łodzi nie można było inaczej próbować. Pierwsza rzecz w motorówce, to właśnie motor. A ten wyglądał okazale. Nie był skomplikowany, natomiast porządnie utrzymany. Każda z części pociągnięta była z pieczołowitością smarem, a wszystko błyszczało stalą i miedzią.

— No i co? — zakrzyknął kuzyn entuzjastycznie. I natychmiast wydał rozkaz zapuszczenia motoru. Mechanik uczynił to jakby niedbale, jednym ruchem ręki. Rozległo się natychmiast charakterystyczne „trajkotanie“. Motor szedł równo, bez przerw, bez zakasływań. Mój entuzjazm, choć był już równy entuzjazmowi kuzyna, to jednak ulegał jeszcze trzeźwej ostrożności. Siląc się więc na ton rzeczowy, zapytałem kuzyna: czy motor był przeglądany?

— Naturalnie — odpowiedział kuzyn — przez Kręcickiego.

Nazwisko Kręcickiego było mi dostatecznie znane. Ów Kręcicki był na terenie krakowskim bezapelacyjnie wyrocznią w sprawach wszelkiego rodzaju motorów.

— I co powiedział Kręcicki? — pytałem dalej.

— Że klasa...

— Kto go sprzedaje? — inwigilowałem surowo, walcząc po cichu z własną radością.

Odpowiedział mi natychmiast, że odsprzedawcą jest pewien inżynier, bardzo cemony i wielce naogół szanowany. Że ów inżynier wyjeżdża teraz na prowincję i nie chce więcej trzymać tutaj łodzi. Tam zaś, dokąd jedzie, niema wody.

Nie pytałem dalej. Wierzyłem. Zkolei przeszliśmy do łodzi. Przerażały mnie dwie olbrzymie dziury, wybite w dnie, jak twierdzono, podczas transportu.

— Drobna naprawa, możesz mi wierzyć — zapewniał kuzyn.

Niętylko wierzyłem, ale chciałem już wierzyć.

— No! Decyduj się prędko — nalegał teraz.

Zdecydowałem się!

Teraz chodziło jeszcze o pewną drobną formalność, mianowicie o pieniądze. Nie miałem owych, potrzebnych zaraz i natychmiast, pięćset złotych. Ale wiedziałem, gdzie je mogę dostać. Wróciłem tedy do domu i rozpocząłem dyplomatyczne rozmowy z teściową. NNie zdradzając chwilowo właściwego sedna sprawy, roztoczyłem przed nas teściowa, patrzyła niedowierzająco. — lewskiego. Żona natomiast opowiadała cuda o czarze Wisły pod Modlinem. Słuchając nas teściowa, patrzyła niedowierzająco. — Wietrzyła jakiś podstęp.

— Czemuż tam nie jedziecie, jeśli tak chwalicie? — zapytała wkońcu.

Tego mi było potrzeba. Przystąpiłem do rzeczy. Opowiedziałem o niesłychanej okazji i przedstawiłem plan wodnych wakacyj z dwojakiego punktu widzenia: przedewszystkiem oszczędnościowego, potem turystycznego, pieczętując swoje wywody względami zdrowotnymi. Żona wspierała mnie okrzykami pełnemi zapału. Byliśmy tedy — jak dziś już na to patrzę — prawdziwemi dziećmi naszej epoki, autentycznymi przedstawicielami „radosnej twórczości“. To też dostaliśmy wkońcu owe pięćset złotych tytułem pożyczki. Prędko pobiegłem do kuzyna i wpłaciłem mu jego pieniądze.

— Najwyższy czas — rzekł kuzyn, chowając banknoty obojętnie. — Antek już od godziny wisi przy telefonie i dręczy o odpowiedź. Daje już 550!...

Mniejsza o to kto to Antek! — pomyślałem — a łódź i tak moja. Ja i żona zatriumfowaliśmy i bez zwłoki wzięliśmy się do dalszych czynności, które na nas nakładała nowa godność armatorów, czyli właścicieli jednostki pływającej. Przedewszystkiem więc kadłub łodzi powędrował do specjalisty od napraw i malowania takich jednostek. Suchy dok mieścił się na bocznej Zwierzynieckiej. W doku oprócz mojej łodzi, znajdowały się jeszcze: jakaś kanapa, oraz wielki kredens. Pierwsza w remoncie, drugi w przebudowie. Motor odstawiłem natomiast do arcymatadora Kręcickiego. Bez potrzeby wprawdzie, jak twierdzono, ale od wszelkiego wypadku. Tego samego dnia wieczorem wybuchła w naszym domu ostra kłótnia małżeńska na temat imienia dla łodzi. Dopiero koło północy, zmożeni snem i nadziejami na przyszłość, zdecydowaliśmy się na piękną nazwę: „Nautilus“.

Dnia następnego, już w czasie śniadania, wyznaczyliśmy także datę wyjazdu na: „od dziś za dwa tygodnie“. Grono znajomych, którym w najwyższej tajemnicy zwierzyliśmy się z sekretu że zamierzamy wynuszyć przez Polesie na Litwę, patrzyło na nas z podziwem i zazdrością. Do budowniczego łodzi, alias stolarza z bocznej Zwierzynieckiej podążały co popołudnia liczne pielgrzymki wtajemniczonych. Tam z nabożeństwem dotykano się już nagich żeberek wodnego sprzętu i pytano: w jakim kolorze będzie pomalowana? Naturalnie na błękitny, trzeba było dostosować ów błękit do błękitu emalji tarczy rozpędowej motoru, lecz pod linją wodną postanowiliśmy zachować tradycyjny kolor czerwony. Piękny biały napis „Nautilus“ miał się znajdować z obu stron dzioba. Tymczasem miał być malowany, bo z czasem postanowiliśmy zamówić litery z brązu. Lekko złoconego, rzecz jasna. W parę dni później po głębokim namyśle i po naradzie z żoną oraz po przestudjowaniu podręcznika „Budowa jachtów“ wydałem stolarzowi dalsze dyspozycje: wzmocnienie dna listwami kilowemi, wzmocnienie podłogi gęstą kratą, sporządzenie specjalnie podnoszonego stołu na dziobie dla pisania w czasie podróży. Postarałem się bowiem w międzyczasie o korespondencje z podróży w dwóch wielkich pismach. Owe korespondencje miały nam pokryć koszta zakupu oraz remontu łodzi i motoru. Dodatkowo kazałem zbudować jeszcze jeden, bardzo praktyczny, rodzaj leżaka — łóżka oraz zamówiłem u tapicera cały komplet poduszek, krytych błękitnym, pod kolor łodzi, brezentem, oraz — trzy lekkie materace. Trzy — gdyż zaprosiłem na wycieczkę jednego młodego przyjaciela.

Praca tymczasem wrzała. Codzień byłem u Kręcickiego, gdzie patrzyłem z rozrzewnieniem na motor, rozłożony na drobne cząsteczki. Idąc za radą wszechwiedzącego specjalisty, kazałem od wszelkiego wypadku zmienić pierścienie (jedynego) tłoczka, potem także zmienić sam (także jedyny) tłoczek i szlifować (jeden jedyny) cylinder.

Pojechałem zkolei do Lwowa. Chciałem się bowiem zaopatrzyć w potrzebny sprzęt do podróży w owym raju dla sportowców, jakim jest sklep Scotta i Pawłowskiego. Tam to zakupiłem namiot, rozmaite termosy, ciepłe i przewiewne ubrania, jak również wymyślne latarki elektryczne, długotrwałe, odporne na wilgoć, ze zmienną siłą światła. Targowałem wielki kufer ze sprzętem weekendowym (jedyna okazja tylko 90 złotych!), ale mimo wszystko, choć z bólem serca, nie kupiłem kufra. Zamówiłem też w pewnej fabryce odpowiednie konserwy i kazałem je zaraz przesłać do Krakowa na adres znajomych, nie chciałem bowiem drażnić teściowej. Wreszcie zmęczony i pełny świeżych wiadomości oraz pouczeń, udzielanych mi chętnie przez licznych amatorów sportu wodnego, wróciłem z powrotem do Krakowa.

W Krakowie uzupełniłem z grubsza sprzęt wędkarski, a więc przedewszystkiem wędziska, haczyki rozmaitych kalibrów, linki i błyskotki, oraz dziesiątki rozmaitych drobnostek, jak ołów, pławiki i siatki, zamierzaliśmy bowiem żywić się rybami. Krótki spis przedmiotów, potrzebnych jeszcze do rozpoczęcia podróży, zawierał dalej około czterdziestu pozycyj.

Tymczasem łódź była już gotowa. Z dumą oglądaliśmy wspaniałe dzieło właściciela doku ze Zwierzynieckiej. Cudowny lakier-

Dokończenie na str. 12-tej.

PARADA „KINGS GUARD“
Fot. MUNDI — Amsterdam



Ciąg dalszy ze str. 10.
celon odbijał na łodzi nasze twarze, pełne zachwytu i niecierpliwego oczekiwania. — Łódź przeniesiono z powagą do nas do domu, do garażu.

Termin wyjazdu był tuż, tuż, ale coś z motorem nie było w porządku. Po przeglądzie i naprawie, wyraźnie, jak się to mówi, „nawalał". Nie chciał chodzić nawet w beczce.

— Magneto! — odrzekł lakonicznie Kręcicki.

Zbladłem. Cylinderek (jedyny) był już oszlifowany, nowy (jedyny) tłoczek sprowadziło się aż z Niemiec, czyżby także i jedyne magneto?...

To był już cios. Ale zniosłem go po męsku, sam, żonę zbywając półsłówkami. Niemniej niewiasta, obdarzona niezwykłą dozą kobiecej intuicji, zaczynała się niepokoić. „A jeżeli ten motor wogóle nie ruszy?" — zapytała raz w czasie jednej z licznych, acz niemiłych rozmów. Roześmiałem się szyderczo i poszedłem do Kręcickiego. Magneto dawało już wprawdzie piękne iskry, ale za to motor na nie nie reagował. Milczał jak zaklęty.

Kręcicki także milczał.

— Więc cóż? — zapytałem mistrza z należytem uszanowaniem.

— Magneto jest złe, prawoskrętne. Ten motor wymaga lewoskrętnego! — brzmiała odpowiedź wyroczni.

Łydki pode mną zadrżały. Nowe magneto — to przecież wartość całego motoru, łącznie z Kręcickim i remontami. Czekał mnie jednak ten nowy cios. Gdy zacząłem szukać po Krakowie takiego lewoskrętnego magneta, poszukiwania skończyły się zupełnem fiaskiem. Takiego właśnie magneta nie było. Próżno objechałem wszystkie składy nowych i używanych części motorowych, próżno obiecywałem złote góry rozmaitym szoferom, na próżno przedstawiciele rozmaitych firm dopytywali się telegraficznie w swoich filjach. Nietylko w Krakowie, ale i w całej Polsce takiego magneta znaleźć się nie dało. Wreszcie przypadkiem spotkałem pod Katowicami pewnego pana.... Ale to długa historja. Dość, że magneto przybyło pocztą lotniczą do Krakowa. Był przy motorze jeden maleńki, tajemniczy sztyft, tuż pod kołem rozpędowem. Ów sztyft przesuwał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zaintrygowany zapytałem mistrza Kręcickiego, co ów sztyft oznacza. „Nic ważnego", odpowiedział mistrz dość pogardliwie. Później, nawet wiele lat później, dowiedziałem się, że był to sztyft, dozwalający używać każdego magneta lewo- albo prawoskrętnego...

Oto termin wyznaczony na start do podróży dawno minął, ha! nowy termin wyznaczony po burzliwej naradzie rodzinnej minął także. Już nie tylko teściowa i żona, lecz także i wtajemniczeni przyjaciele zaczęli się jakoś gwałtownie dopytywać: co właściwie z podróżą słychać? Przyszedł mi z pomocą mój żywioł — woda, w tym wypadku Wisła. Ciemne chmurzyska nadpłynęły z zachodu i zaczął siąpić deszcz. Wreszcie zaczęło lać i — lało bez przerwy dwa długie tygodnie. Wisła wystąpiła z brzegów. Zewsząd nadchodziły alarmujące wieści o powodzi. Komunikacja Lwów—Kraków została przerwana. Ludzie tonęli jak muchy. Całe połacie kraju zostały zrujnowane. Był to krótki okres czasu, kiedy teściowa i żona błogosławiły owe przeszkody motoryczne. A jednak wiedząc dobrze, że kiedyś wody opadną, bo nawet i potop miał swój kres, nie zasypiałem gruszek w popiele. Z energją, godną Napoleona, wykorzystywałem każdą minutę, każdą godzinę, każdy dzień. Osobiście zakasawszy rękawy pracowałem nad montażem motoru, aż — zaterkotał pewnego razu i poszedł. Naturalnie na beczce. Szedł jednak pod rząd przez trzy godziny. Wróciłem do domu, jak triumfator. Teraz już niecierpliwie czekałem spadku wód. Na dole czekała, codziennie odkurzana, lśniąca jak lustro łódź w garażu. Jeden tylko szczegół dziwił mnie niezmiernie. Syn naszego dozorcy, zapalony kajakowiec, miał przy naszym garażu małą fabryczkę kajaków. Nasz kajakowiec patrzył na łódź z ciekawością, ale bez entuzjazmu. Nie zazdrościł mi jej wcale.

Nieraz, schodząc do garażu, usiłowałem sprowokować rozmowę. Pytałem: no, jakże się panu łódź podoba?

— I owszem, ładna — odpowiadał grzecznie, ale nie odrywał się od swej roboty i nie patrząc wcale w stronę łodzi, stukał cierpliwie koło żeberek jakiegoś nowego kajaka.

Nieraz przechodziłem z żoną przez ulicę Wiślną. Tam, na dużej wystawie, dziś już nieistniejącego sklepu, stał składak w pełnem ożaglowaniu. Grot, bezan i fok — poprostu mały jachcik. Spoglądaliśmy na to cacko z wielką przyjemnością, ale z uczuciem pewnej wyższości. Tak spogląda właściciel Hispano-Suizy na dobrze utrzymaną balilkę Fiata.

— To niepraktyczne — mówiłem zwykle do żony.

— Niepraktyczne i kłopotliwe — odpowiadała mi żona.

I szliśmy dalej. Przeważnie po zakupy, bo z zakupami nie doszliśmy jeszcze końca. Znaczna część owych czterdziestu pozycyj sprzętów, koniecznie potrzebnych do podróży, a czysto wypisanych atramentem na długiej kartce — jeszcze nie uległa skreśleniu.

Coprawda ograniczyliśmy czas trwania wycieczki z dwóch i pół na półtora miesiąca. Pocieszałem żonę, że opóźnienie było nawet pożądane, bo o tej porze na Polesiu mniej komarów.

— Widzisz! komary! — wykrzyknęła żona i zapisała na dole karteczki: „środek na komary". Zdania specjalistów (adwokata oraz dyrektora fabryki likierów) były różne, a nawet rzec by można — rozbieżne. Zdecydowaliśmy się wreszcie na olejek kamforowy z domieszką pewnego specyfiku. Recepty dostarczył nam pewien ceniony historyk.

Oto nieba pomału stawały się łaskawsze. Chmury nie naciągały już w takich ilościach i już nie tak ponure, czarne, źle wróżące. Wreszcie i słońce lipcowe dobrze zaczęło przypiekać. Motor był gotów. Sprzęt był w komplecie. Uzupełniłem go w ostatniej chwili pięknym pychem oraz bardzo wymyślną kuchenką, na której można było gotować nawet w czasie spływu na wodzie.

Nadszedł z dawna oczekiwany dzień próby. Było to na trzy dni przed definitywnie oznaczonym terminem wyruszenia. Zaproszony towarzysz, mieszkający pod Krakowem, zasypywał nas bez przerwy listami, telegramami i rozmowami telefonicznemi. Teraz wezwany przyjechał, by wziąć udział w próbie. Miała się odbyć na Wiśle wczesnym rankiem. Tego samego dnia popołudniu postanowiłem przeprowadzić próbę szybkości obładowanej łodzi na dwudziestokilometrowym odcinku Kraków—Czernichów.

Przed dniem tak ważnym zamówiłem ludzi do przyniesienia łodzi na przystań oraz wszcząłem gwałtowne poszukiwania za pewnym panem, który ponoć z poprzednim właścicielem wypływał często na wycieczki i znał motor oraz łódź doskonale. Te poszukiwania prowadziłem właściwie od dawna, ale zawsze natrafiałem na jakieś tajemnicze trudności. Wreszcie szofer mego szwagra, wysłany na wywiad, zatelefonował mi, że ów pan będzie na przystani o godzinie siódmej. Zawiadomiłem Kręcickiego i służącej kazałem się zbudzić o szóstej rano.

W decydującym dniu byłem już o godzinie trzy na siódmą na przystani. Stałem nad brzegiem Wisły do dziewiątej. O dziewiątej przyniesiono łódź, o pół do dziesiątej motor, koło dziesiątej natomiast zjawili się „jacyś dwa cywili" o wyglądzie podobnym, jak ci ze sławnej piosenki lwowskiej i oświadczyli mi, że to oni właśnie znają łódź i inżyniera. Trudno! Przyjąłem to do wiadomości. Przystąpiono więc do przykręcania motoru w myśl wskazówek wyższego z owych przyjaciół inżyniera. Teraz dopiero zauważyłem, że ścianka rufy jest dość słaba i chyba nie wytrzyma wstrząsu motoru.

— Drobnostka — rzekł wyższy cywil. — Wzmocnienie minuta... Łódź klasa... Motor brylant... pojedzie jak cholera...

Zakręcili... Pyknęło. Ukazał się dymek. Potem zakręcili drugi raz. Pyknęło po raz drugi i ukazał się drugi dymek. Potem kręcili na próżno z godzinę. Chyba...

— Coś tu nie w porządku — słusznie zauważył jeden z mechaników Kręcickiego.

— Rzeczywiście — odrzekł rzeczowo drugi.

— Magneto — szepnął wyższy cywil.

— Cylinder — odrzekł szeptem drugi.

Kręcicki stał tymczasem na wysokim brzegu z założonemi na wzór Napoleona rękoma.

— Świeca — rzucił krótko.

— Świeca to głupstwo... Zmienić świecę sekunda... Potem pójdzie jak cholera — oświadczył wyższy cywil.

Poszli po świecę. Zmienili świecę. Była już pierwsza w południe, gdy zakręcili. Pyrknęło coś i ukazał się słaby dymek.

— Idzie... — rzekł Kręcicki.

— Pójdzie! — wykrzyknął mechanik.

— Jak cholera! — oświadczył wysoki przyjaciel inżyniera.

Ale nie poszło. Pod świecą była woda. Po bliższem badaniu okazało się, że przy gwincie od świecy jest ledwie widoczna szczelina. Ale też aż do środka ziemi, aż do kanałów wodnych. Jakoś zniknął nagle Kręcicki, zniknęli mechanicy, przepadli i owi dwaj cywile. Na miejscu klęski pozostali jedynie milczący nosiciele łodzi. Łódź wróciła do garażu. Motor po wielce burzliwym dniu do innego mistrza od spraw motorów spalinowych. Ów mistrz Nr 2, sfabrykował nowy cylinder, ale i to nie pomogło. Przy następnych próbach łodzi i motoru nie asystowałem osobiście. Zapłaciłem już raz 200 złotych z zamianą na 5 dni aresztu za uszkodzenie cielesne pewnego pana. Zresztą nowe trudy nie przyniosły niczego nowego. Motor chodzi wprawdzie do dziś dnia, a łódź do dziś dnia trzyma się wody, ale każde z osobna. Razem jakoś nie chcieli. Widocznie dzieliły ich niezgodne charaktery. Postanowiłem sprzedać motor i łódź, zrzygnować z dumy właściciela motorówki, a kupić ów składak z Wiślnej.

Kiedy poszedłem na Wiślną, nie było już kajaku. Kupił go pewien pan.

— Z Krakowa?

— Nie. Z Liska, wyprawia się na Litwę. Część drogi robi spływem.

— Którędy?

— Przez Wisłę, Bug, Jasiołdę, Pinę, potem kanałem Ogińskiego. Wreszcie transportem. Jest już w Pińsku. Pisał kartkę — objaśniał mnie uprzejmy kupiec.

„Nautilus" długo leżał w garażu, potem gdy teściowa przeprowadziła się, w przystani AZS. W parę lat później kupił go pewien pan za 40 złotych i zaraz odsprzedał dalej za 20. Motor do dziś dnia leży na składzie u mistrza Nr 2. Mistrza Nr 1, supermatadora Kręcickiego, jakoś od tej pory nie udało mi się spotkać, mimo, iż składałem mu kilkakrotnie wizyty w jego warsztacie, nawet w dość nieoczekiwanych porach. — Chciałem również pojechać do owego inżyniera, poprzedniego właściciela motorówki. Pokazało się, że to był tylko technik, który pragnął w przyszłości zostać inżynierem. Mówiono mi też, że wszelkie rozmowy prowadzi jedynie za zgodą osób trzecich, a przedewszystkiem między innymi za zgodą przemiłego zresztą sędziego śledczego.

Tak się skończyła sprawa motorówki, która nas miała zawieźć na Litwę.

FABRYKA REMBRANDTÓW



Przed niedawnym czasem dr G. Cornell, dyrektor Amerykańskiego Stowarzyszenia Pałaców Sztuki, oświadczył pewnemu dziennikarzowi, iż w ostatnich czasach sprzedano kolekcjonerom amerykańskim około 40 dzieł słynnych mistrzów impresjonistycznych, które są doskonale zrobionemi... kopjami!

Dr Cornell dodał, iż muzea amerykańskie pełne są falsyfikatów — Ja sam — mówił — odkryłem 8 fałszywych Monetów, niezliczoną ilość Corotów, Picassów itd. Jestem przekonany, iż zarówno w Europie, jak i w Ameryce istnieją doskonale zorganizowane bandy, które robią świetne interesy na dostarczaniu kolekcjonerom amerykańskim fałszywych obrazów. Gdy z Louvru skradziono Monę-Lisę, sprzedano później w Ameryce pięć jej kopij w cenie mniej więcej 300.000 dolarów za każdą.

Dr Cornell, udzielając powyższego wywiadu, nie wiedział, iż w Belgji już od lat funkcjonują istne fabryki fałszywych dzieł sztuki. Pracują w nich bardzo utalentowani artyści. Fabryka kopji Rembrandta, znajdująca się w Hove pod Antwerpją, dostarcza według zdania licznych ekspertów „lepsze" Rembrandty od... prawdziwych!.... W Brukseli też znaną jest pracownia, której specjalnością są obrazy Ruysdaela i Hobbemy. Najwięcej jednak tego rodzaju „przedsiębiorstw" znajduje się we Francji, a przed wojną domową w Hiszpanji.

Podobnie jak obrazy, fałszuje się też meble. Muzea są nimi zresztą wszędzie przepełnione. Słynne muzeum paryskie w Cluny posiadało naprzykład krzesło, ozdobione bardzo cennemi rzeźbami, pochodzące z XVI stulecia. Pewnego dnia znalazł się tam stolarz orleański Caillot i rzuciwszy okiem na wspomniane krzesło, zapytał się — skąd też to paskudztwo się tu wzięło? Na jego nieszczęście usłyszał to kustosz, który zimno mu odpowiedział: — To paskudztwo jest jednym z najcenniejszych zabytków sztuki, który znaleźliśmy w podziemiach opactwa w Normandji.

— Panie drogi! — przerwał mu Caillot. Przecież ja sam zrobiłem to krzesło! Ponieważ dyskusja toczyła się na głos, a dziennikarze wszędzie są obecni, więc też niedługo potem prasa paryska zabrała głos, podpiwając sobie ze znawców sztuki. Ci nie mogli, rzecz oczywista, pozostawić tego oskarżenia bez odpowiedzi i zwołano komisję ekspertów w celu wydania sądu. Zawezwano również na świadka stolarza Caillot. Po długich badaniach komisja orzekła, iż krzesło pochodzi w istocie z XVI wieku i że wobec tego stolarz Caillot jest oszustem. Ten, usłyszawszy to, czerwony jak burak, podszedł do „średniowiecznego" krzesła i odsunąwszy palcem maleńką rzeźbę, poprosił o odczytanie napisu, który się pod nią znajdował. Caillot był na tyle złośliwym, iż po ukończeniu pracy wyrył tam swe nazwisko, datę ukończenia i adres. Eksperci musieli się poddać. Antykwarjusz, który je sprzedał, oddał pieniądze, lecz w kilka dni później „średniowieczny" ten mebel powędrował do Ameryki.

Obraz słynnego malarza Watteau, zakupiony przez Louvre w Anglji, którego autentyczność została ostatnio zakwestjonowana.



W Detroit znaleziono ostatnio cenny obraz Rembrandta, który uważano za zaginiony. Zakupiło go Muzeum Sztuki w Detroit.

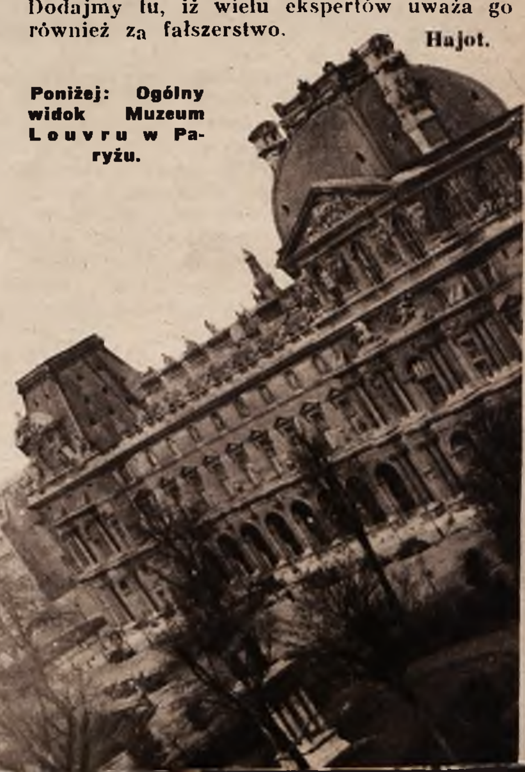
Falsyfikatom nie można w wielu wypadkach odmówić bardzo dużej wartości artystycznej. To zresztą jest też przyczyną, dla której tak trudno jest odróżnić je od prawdziwych. Fabryki starych mebli, istniejące w bardzo dużej liczbie w Malines (Belgja), posiadają tę zaletę, iż fabrykują je według gustu klienta. Wystarczy więc się udać do antykwarjusza i powiedzieć swe życzenia. Fabryka obiecuje nam poszukać żądanego przez nas mebla u kolekcjonerów, a w międzyczasie... daje odpowiednie zamówienie do Malines! W kilkanaście dni później otrzymujemy odpowiedź, iż antykwarjuszowi udało się znaleźć, dzięki wyjątkowemu tylko szczęściu żądany przez nas mebel i wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak zapłacić i zabrać go. Ten rodzaj „nabierania" naiwnych stosowany jest niezawodnie wobec klientów amerykańskich. Bardzo często jednak „wpadają" również i „znawcy" europejscy. Przypomina to nam przykry wypadek, który się zdarzył bardzo popularnemu w Paryżu przemysłowcowi Loucher'owi. Za iście bajońskie pieniądze kupił on salon Marji Antoniny z gwarancją autentyczności. Przyjaciele kpili jednak z niego bez litości i wobec tego p. Loucher wytoczył swemu sprzedawcy proces, każąc mu dowieść, iż w istocie meble te należały kiedyś do nieszczęśliwej królowej francuskiej. Handlarz, jak się można domyśleć, nie zdołał tego wykazać i Paryż miał w związku z tem niecodzienną zabawę. Poco jednak bawić się kosztem p. Louchera? Jeśli czytelnicy nasi będą w Wersalu, prosimy, by kazali sobie pokazać łóżko Ludwika XIV. Budzi ono zachwyt turystów, tymczasem w Paryżu wszyscy o tem wiedzą, iż jest to zwykła kopja, sporządzona za czasów Ludwika Filipa, według starego modelu, gdyż oryginał dawno już stoczyły robaki. Kilkanaście lat temu głośny znawca dzieł sztuki Pierre Decourcelle kupił za 250.000 franków obraz Guardi'ego. Przyjaciele przychodzili oglądać to arcydzieło i byli niem zachwyceni. Dopiero synek Decourella, bawiąc się w pobliżu obrazu „Guardi", powalał sobie ubranko, gdyż... na gondolierach nie wyschła jeszcze farba... W końcu ubiegłego wieku, w mieście rodzinnem Milleta, Charbourgu, powstało całe przedsiębiorstwo, które fałszowało jego obrazy. Na ślady tej bandy wpadła policja w dość nieoczekiwany sposób. Do jednego z antykwarjuszy zgłosił się handlarz obrazów, trzymając w ręku „autentycznego" Milleta, za którego zażądał 35.000 złotych franków. Antykwarjusz poznał odrazu fałszerstwo, chcąc się jednak zabawić, oświadczył przybyłemu, że nie posiada tak wielkiej sumy pieniędzy, lecz zna człowieka, który jest na punkcie obrazów Milleta „zwarjowany". Mówiąc to, podał on uszczęśliwionemu fałszerzowi adres zięcia Milleta, Heymana, mieszkającego przy ulicy Norvins. W kilka minut później meldował się on w poczekalni, pełnej autentycznych Milletów. P. Heyman był jednak mniej uprzejmym od antykwarjusza i złapawszy fałszerza za kołnierz, zaprowadził go do komi-

W Belgji znajduje się po piwnicach antykwarjuszy niezliczona ilość starych obrazów flamandzkich. Wypływają one na światło dzienne z okazji najrozmaitszych rocznic i handlarze starają się wmówić w kolekcjonerów, iż jest to „nieznany" obraz tego, czy innego męża stanu.

Przed niedawnym czasem muzeum w Louvrze zakupiło w Anglji dwa obrazy Watteau, Jeden z nich zatytułowany „Plantacje kukurydzy", budzi zastrzeżenia znawców, którzy go uważają za kopję. We Francji, mimo kryzysu, obrazy mistrzów znajdują w dalszym ciągu nabywców. Przed niedawnym czasem sprzedano niewielki obraz, o średnicy 60 centymetrów, przedstawiający „Narodzenie Pańskie", który przypisywany jest Fra Filippo Lippi. Za obraz ten zapłacono w Paryżu 2.171.000 franków. Dodajmy tu, iż wielu ekspertów uważa go również za fałszerstwo.

Hajot.

Poniżej: Ogólny widok Muzeum Louvru w Paryżu.



KRAKOWSKA SZWAJCARJA

Zapewne niewiele osób odwiedzających Kraków i zachwycających się jego zabytkami historycznemi zdaje sobie sprawę, że jest to jedno z najpiękniej położonych miast w Polsce. Miano Szwajcarji Krakowskiej, jakiem określa się tę część kraju, dla której dawna stolica stanowi również centrum ruchu wycieczkowego w przepiękne dolinki i na wzgórza wapienne, leżące w bezpośredniem jej sąsiedztwie, nie jest ani pochlebstwem, ani przesadą. I jeśli t. zw. Krakowska Jura jest przedmiotem głębokiego zainteresowania dla archeologa, który w licznych jaskiniach Ojcowa, Mnikowa i Wierzchowa natrafia prawie co krok na ślady życia z okresu przedhistorycznego, jeśli w grodziskach Piekar, Doliny Bentkowskiej i Okopów Ojcowskich znaleźć może odpowiedni teren do studjów każdy miłośnik przeszłości, to cała wyżyna, rozciągająca się między Krakowem i Częstochową jest dla turysty prawdziwą krainą czarów, stworzonych przez przyrodę dla olśnienia oczu. A jednak trzeba przyznać, że nawet dziś, kiedy znajomość ojczystego kraju jest już nie tylko dowodem miłości, ale zwyczajnym obowiązkiem, osobliwości jej, poza Ojcowem i Złotym Potokiem, dwoma letniskami pod nazwą Iglicy, Skały Sokolej, Wrót Djabelskich itp. Długa ta ponad milę dolina z kilkoma bocznemi odgałęzieniami szczyci się posiadaniem jedynych na terenie dawnej Kongresówki wodospadów na potoku, wypływającym w okolicy t. zw. Groty Nietoperzowej na gruntach wsi Jerzmanowic. Wapienne wzgórza, ograniczające ją od wschodu, opadają w niektórych miejscach stromo w dół wysokiemi, niedostępnemi ścianami, w których gnieździ się najrozmaitsze ptactwo. Równolegle do doliny Bentkowskiej ciągnie się szereg innych wąwozów skalnych, znanych z swej malowniczości i szczególnego uroku, jaki im nadaje kontrast białych, wapiennych zrębów z gęstemi, zielonemi zaroślami, pokrywającemi ich szczyty i stoki. W dolinie Szklarskiej mieści się znana Krakowianom pstrągarnia w Dubiu, a łącząca się z nią dolina Racławki uczęszczana jest chętnie przez szukających ciszy miłośników sportu wędkowego. Bliżej Krakowa położone wąwozy w Karniowicach, Bolechowicach i w Wierzchowie, posiadającym jedną z największych grot na terenie Polski, stanowią od dawna cel półdniowych wycieczek i spacerów. Najpopularniejszym jest jednak bezsprzecznie wąstaci ruin zamków, z których za najpiękniejsze uchodzą Bobolice i Smoleń, zbudowane na szczycie stromych urwisk wapiennych. Wędrówka przez te piękne, ale trudno dostępne ze względu na piaski okolice wymaga, zwłaszcza w pobliżu Olkusza, odpowiedniego przygotowania wobec braku wody, który daje się we znaki położonym na tym szlaku wsiom, nie pozwalając im rozwinąć się i rozbudować. Tem się tłumaczy duży odsetek nieużytków i ziemi leżącej odłogiem, która na tej usianej kamieniami, spalonej przez słońce i ubogiej w wodę przestrzeni rodzi wogóle bardzo mało i nie może wyżywić właścicieli. Tereny te obfitują jednak w najrozmaitsze kopaliny, czego dowodem kopalnie srebra i galmanu w Olkuszu, czynne już za czasów dawnej Rzeczypospolitej.

Dla miłośnika piękna przyrody, dla artysty, dla każdego człowieka, umiejącego patrzeć i czuć jest Krakowska Szwajcarja niewyczerpaną skarbnicą wrażeń. Świeża, nieskalana zieleń, stanowiąca tło dla lśniącej bieli wapiennych skał, których kształty przypominają jakby skamieniałe przedhistoryczne potwory, strumyki, szemrzące cicho na dnie dolin, a tu i ówdzie szare,



mi, położonemi na przeciwległych krańcach wapiennych terenów krakowskiej Szwajcarji, znane są tylko szczupłej garstce zainteresowanych.

Ojców stanowi od wielu lat cel wycieczek w dolinę Prądnika i jest połączony z Krakowem dobrą szosą. Tem się tłumaczy, że osobliwości jego stały się więcej dostępne szerszemu ogółowi i że w każde święto odwiedzają go rzesze ciekawych. Droga, którą zdążą do niego jadąca autobusami publiczność, nie przedstawia jednak nic ciekawego i za wyjątkiem ostatniego jej odcinka, gdzie na ostrych zakrętach rozpościera się przed oczyma pasażerów widok z góry na całą dolinę, uważać ją trzeba za nużącą i monotonną. Osoby, zdążające pieszo w tamte okolice wiedzą jednak, że do Ojcowa prowadzi kilka dróg bardzo malowniczych i uczęszczanych ze względu na pewne atrakcje turystyczne w postaci fantastycznych skał, wodospadów, grot, zacisznych dolinek i pokrytych lasem wapiennych urwisk. Najpiękniejszym szlakiem dla piechurów jest bezsprzecznie wiodący przez położoną na północ od Rudawy i ciągnącą się prawie pod sam Ojców Dolinę Bentkowską, z jej ciekawemi formacjami jurajskiemi, znanewóz w Czernej pod Krzeszowicami, leży bowiem zaledwie cztery kilometry od linji kolejowej, a osobliwości jego, jak klasztor OO. Karmelitów, legendarny Most Djabelski i Źródło Miłości, ujęte w ostatnich czasach w ocembrowanie kształtu serca, przemawiają do wyobraźni każdego przechodnia.

Na południe od linji kolei, łączącej Kraków z Wiedniem, wznoszą się również grupy skał, która w okolicy Nielepic, w dolinie Brzoskwini, w t. zw. wąwozie „Na wrzosach" i pod Przeginią tworzą większe formacje wapienia, imponujące niejednokrotnie wysokością i niezwykłością kształtów. Najbardziej znanym w tej okolicy jest jednak wąwóz w Mnikowie, jeden z najpiękniejszych wapiennych wąwozów Polski, w którego grotach znaleziono swego czasu bardzo ciekawe wykopaliska i który posiada wielu wielbicieli, zachwycających się jego urokiem i czarem.

Bardziej na północ położone części Jury Krakowskiej, okolice Olkusza i Wolbromia posiadają niezależnie od ciekawych formacyj wapiennych, tworzących grupy skał o różnorodnych kształtach, szereg zabytków z czasów dawnej Polski Piastowskiej w pozjedzone przez wilgoć i czas ruiny zamków, których dziejów niejednokrotnie ledwie się można domyślić (Okiennik, Morsko, Złoty Potok), to jeden z najczęściej spotykanych w okolicy Krakowa obrazów. Z drugiej strony napotyka się często, zwłaszcza w okolicach położonych bardziej na północ, na przestrzenie pokryte zeschłą trawą, wśród której widnieją mniejsze i większe głazy, na lasy sosnowe, otaczające i kryjące grupy białej wapiennej opoki, a nawet i na piaski, które przywodzą na myśl pustynię i które też takiem mianem określa ludność miejscowa (Pustynia Błędowska). Te części krakowskiej Jury mają jednak dla turystów urok nieznanego, urok prawie że egzotycznej krainy i z tych względów zasługują na zwiedzenie. Albowiem do żadnego może zakątka ziemi polskiej nie można z taką słusznością zastosować słynnego Hamletowskiego powiedzenia o „mnogości cudów, nieznanych filozofom", jak do tych terenów, których piękno i czar starano się podkreślić, nazywając je Krakowską Szwajcarją i które też na określenie to w pełni zasługują.

W. St.

CO Z NIMI ZROBIĆ?



Problem parkowania aut nie jest chyba nigdzie tak palący, jak w Nowym Jorku.

Poniżej: Oto trotuary brukselskie, które specjalnie są dostosowane do parkowania samochodów.

Poniżej: W Chicago zbudowano olbrzymie rusztowanie w którem przechowywać można 48 aut. Umieszczanie aut w odpowiednich „boksach" następuje zapomocą dźwigów.



Rosnący ruch motoryzacyjny w Polsce wysuwa coraz to nowe zagadnienia, związane z tym problemem.

W chwili obecnej stwierdzamy wyraźny brak dostatecznej ilości garażów dla nowych wozów. Nic dziwnego, że nie mamy dotąd wielkich i świetnie wyposażonych garaży, bo przecież stawiamy właściwie pierwsze kroki na tem polu. Nie było dotąd niestety palącej potrzeby takich pomieszczeń z tej prostej przyczyny, iż nie miało się co pomieszczać...

Już w przyszłym sezonie należy liczyć się z przepełnieniem istniejących garaży. Właściciele domów, a zwłaszcza nowobudujących się kamienic i will powinni odrazu przeznaczać dostateczną ilość miejsca na boksy dla aut lokatorów.

Najidealniejszem bowiem rozwiązaniem tej sprawy jest garaż obok mieszkania, w najbliższem sąsiedztwie. Wtedy automobilista w pełni może korzystać ze swego wozu, może on być dla niego przedmiotem codziennego użytku, nie przysparzającym specjalnych kosztów na... komunikację z garażem...

Niewątpliwie znajdą się też ludzie przedsiębiorczy, którzy pomyślą o nowocześnie urządzonych garażach, zapewniających staranną i fachową konserwację wozu.

Zagranicą, w krajach, gdzie motoryzacja poczyniła już ogromne postępy, prawdziwie milowe skoki — powstają inne kłopoty. Oto rosnąca wciąż liczba wozów powoduje zatory na ulicach.

Wyobraźmy sobie, że na, dajmy na to atrakcyjne zawody piłki nożnej, udaje się lekko licząc 50 tysięcy widzów. Jeśli rzecz dzieje się w Ameryce, przeciętnie co piąty widz ma własne auto: dookoła stadjonu gromadzą się tedy dziesiątki tysięcy wozów... Trzeba je odpowiednio sparkować, to znaczy umieścić w ten sposób, by nie tworzyły zbyt wielkich zatorów, a z drugiej strony — pozwalały właścicielowi wyjechać spokojnie i wygodnie do domu.

To samo mniej więcej dzieje się codzień na ulicach wielkich miast. Przed biurami, uczelniami, sklepami gromadzą się tłumy... wozów.

Co z niemi zrobić? — Gdzie je sparkować? — Nad tem głowią się specjaliści, dając mniej lub więcej udane rozwiązania. Nad ziemią, czy pod ziemią? — Najpierw próbowano nadziemnych garaży: poszczególne wozy podnoszono dźwigami na odpowiednie piętro. Teraz próbuje się umieszczać wozy także pod jezdnią: byle uwolnić ulice od natłoku pojazdów.

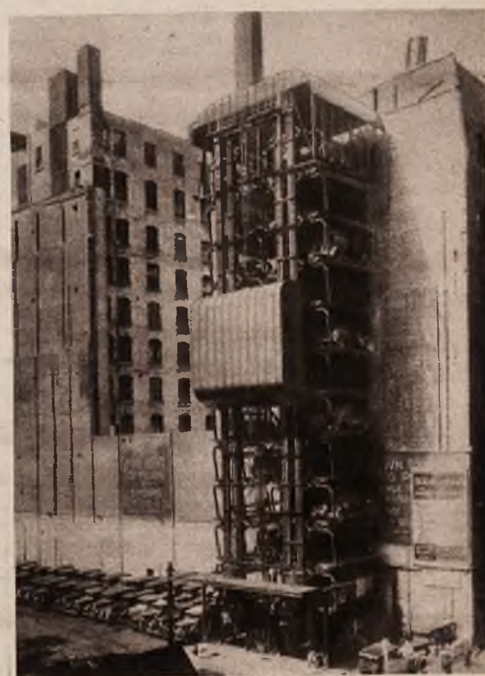
W Paryżu na szerszych ulicach wprowadzono postoje dla taksówek na środku jezdni, przyczem wozy ustawiono ukosem, co ułatwiało szybki wyjazd i dawało pewną oszczędność, jeśli idzie o miejsce, zajęte przez taksówki.

Pewien mechanik, Erik Kjerp, zaopatrzył swój wóz w ruchome koła tylne, umożliwiające jazdy w bok, co miało mu ułatwić umieszczenie samochodu w zbitym szeregu innych wozów. Rzecz prosta, był to tylko eksperyment i ciekawostka.

Zarządy miasta stopniowo coraz więcej ulic oznaczają tablicą: „No parking". Czyli: nie wolno parkować! Właściciel wozu może w ruchliwszych punktach miasta jedynie

Projekt inż. Masse uwidacznia nam garaż podziemny, który miałby w Paryżu rozwiązać zagadnienie postoju samochodów.





przystanąć: nie może jednak pozostawiać wozu przy chodniku.

W Brukseli wprowadzono dla próby chodniki o wężowych krawężnikach, pozwalające na umieszczenie samochodu w poszczególnych załamaniach.

U nas jeszcze nie doszliśmy do tego stopnia nasilenia produkcji samochodowej, aby obawiać się podobnych kłopotów. Miejmy jednak nadzieję, że niebawem i w Polsce poczujemy poważne zgęszczenie ruchu samochodowego nietylko w stolicy, ale i w innych miastach.

Już dzisiaj „na oko" daje się zauważyć coraz więcej pojazdów, snujących się niemal bezszelestnie, z lekkiem syczeniem opon po asfaltach wielkomiejskich. Te nowoczesne smoki nie wydzielają groźnych smug pary z pyska, nie zioną dymem. Stają się coraz bardziej oswojonemi salonowemi zwierzątkami, które opanowuje słaba ręka kobiety.

Na ważniejszych arterjach ruchu zgęszczenie pojazdów mechanicznych jest tak duże, że człowiek dobrze wysportowany mógłby niemal bez ryzyka przebiec na drugą stronę jezdni po dachach wozów. Ponieważ nietylko limuzyny wypełniają ulice — łatwo byłoby wpaść do „dziury", wytworzonej przez wóz otwarty.

Ale żart na bok, faktem jest, że władze, mające pieczę nad regulacją ruchu — mają dziś całkiem nieoczekiwane problemy do rozwiązania.

J. J.

Między niebem a ziemią

Na prawo: Elektromonter przy zakładaniu drutów telefonicznych.



Poniżej: W czasie, kiedy cały Nowy Jork myśli tylko o rozrywkach i zabawie, niektóre zawody wymagają niebezpiecznej pracy między niebem a ziemią.





Podczas budowania drapacza chmur na placu Poczdamskim w Berlinie. *Wszystkie zdjęcia Scherl – Berlin.*



Niewygodna nieco pozycja bynajmniej nie przeszkadza robotnikowi w spożyciu z apetytem dobrze zasłużonego drugiego śniadania.







Powyżej: Malowanie wiązań żelaznych na wysokości kilkudziesięciu metrów jest dla „normalnego" człowieka nie do pomyślenia.

Na lewo: Jak mrówki wspinające się po zboczach mrowiska, tak murarze podążają ku szczytowi komina, by tam wykonać konieczną pracę.

Na prawo: Wśród licznych drutów o wysokiem napięciu elektrycznem, praca elektromonterów wymaga niezwykłej przytomności umysłu.

Każdy z nas pamięta, że jako dziecko, z największym podziwem patrzył na... kominiarza. Nie dlatego, że czarny, ale dlatego, że widzieliśmy go zawsze wysoko, skaczącego sobie swobodnie po dachach i kominach i tę właśnie cyrkową zręczność podziwialiśmy u niego — to właśnie, że z taką swobodą i beztroską wykonuje to, czego nam nie wolno było uczynić nawet w marzeniu.

Ale kominiarz nie ma jeszcze do pokonania tylu przeciwności przy wykonywaniu swego zawodu, chociaż cieszy się podziwem dzieci, jak inni robotnicy. Bardzo wiele jest takich fachów — i to z różnych dziedzin — które wymagają niezwykle zimnej krwi, opanowania równowagi a nawet pewnego rodzaju pogardy śmierci, jaką pozatem można tylko, w sztucznem wydaniu, zaobserwować u aktorów w filmach „krew w żyłach mrożących".

Zestawione tu fotografje ukazują fragmenty pracy takich właśnie robotników, którzy nad przepaściami ulic naprawiają budowle, wspinają się na kominy fabryczne, wznoszą stalowe zarysy nowych gmachów, pracując dosłownie między niebem a ziemią.

REDUTA ŻYWEGO SŁOWA

Zajrzyjmy najpierw do metryki literata i teatrologa — Jerzego Ronarda Bujańskiego (bo o nim tu będzie mowa): rocznik 1904. A teraz kilka szczegółów z jego curriculum vitae: Studja polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim kończy pracą doktorską o teatrze Stanisława Wyspiańskiego. Równocześnie bierze żywy udział w życiu literackiem i artystycznem Krakowa, pisze wiersze awangardowe i prace krytyczne, ale przedewszystkiem rozwija działalność recytatorską, grupując koło siebie młodzież, w którą wpaja kult wielkiego piękna żywego słowa, a kult ten chce też narzucić jak najszerszym warstwom społeczeństwa. Praca Ronarda w tej dziedzinie spotyka się z uznaniem, czego wyrazem powierzenie mu przez Uniwersytet Jagiellońsk i stanowiska lektora żywego słowa. Nie ustaje w pracy w tej dziedzinie. Po dziś dzień wystąpił na przeszło tysiącu (!) wieczorów recytatorskich, nie tylko zresztą w Polsce, ale i w Niemczech czy na Łotwie. Ronard Bujański zyskuje także rozgłos, jako świetny interpretator najnowszej poezji awangardowej.

Ale pasją Ronarda jest teatr. Pragnie go poznać ze wszystkich stron i do głębi. Wstępuje do Reduty i pracuje w Wilnie, u Juljusza Osterwy przez dwa lata, poczem przechodzi do Warszawy, gdzie otrzymuje katedrę dykcji i chóralnej recytacji w państwowej szkole dramatycznej. Równocześnie prowadzi w Warszawie, przez jeden sezon, teatr dla dzieci w t. zw. Pomarańczarni (w Łazienkach). I znowu wraca do Wilna, gdzie w sezonie 1932/33 obejmuje stanowisko kierownika artystycznego i reżysera. Wydaje wtedy i redaguje czasopismo „Front Teatralny", które zresztą, pod inną redakcją, istnieje po dzień dzisiejszy. Dwa następne lata spędza w Warszawie, gdzie zostaje współdyrektorem — wraz z Karolem Adwentowiczem — Teatru Kameralnego, stamtąd przenosi się do Łodzi i obejmuje stanowisko reżysera w teatrach łódzkich.

Równocześnie wzrastają jego zainteresowania radjofonją, otrzymuje stanowisko kierownika literackiego w rozgłośni łódzkiej, gdzie organizuje słynne audycje poetyckie, nadaje wybitne słuchowiska, pracując także naukowo nad zagadnieniem radjofonji. Ale nie zaniedbuje nigdy sprawy żywego słowa, — żywego słowa w teatrze, żywego słowa w radjo i żywego słowa w życiu powszednim. Studja teatralne pogłębia nieustannie, wyjeżdża zagranicę, pisze pracę krytyczne.



Dr Jerzy Ronard Bujański.
Fot. A. Urbanowicz — Łódź.

Dziś, mimo młodego wieku, ma za sobą bogate i ważne, wybitnie doniosłe osiągnięcia teatralne. Jest w tej dziedzinie jednym z najlepszych i najoryginalniejszych fachowców. Przytem nie zaniedbuje twórczości literackiej, świadczą o tem tomiki wierszy, będące także dowodem, jak niesłychaną wagę przywiązuje Ronard Bujański do piękna, melodji i ekspresji żywego słowa; świadczy też o jego twórczości literackiej utwór najnowszy, komedja p. t. „Żywot poczciwy pana prezesa", poruszająca ważne zagadnienia życia współczesnego. W sferach teatralnych z zainteresowaniem mówi się o tym utworze, którego zaletą ma być także rzetelne opanowanie rzemiosła scenicznego i doskonałość zbiorowych obrazów, pozwalających reżyserowi na popis inscenizacyjny.

Pierwszem wybitnem osiągnięciem teatralnem Ronarda Bujańskiego, a równocześnie wielkiem wydarzeniem polskiego życia kulturalnego, była jego inscenizacja fragmentów dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego o Zygmuncie Auguście. To dzieło Wyspiańskiego ukazało się w opracowaniu Ronarda Bujańskiego po raz pierwszy w teatrze polskim na scenie wileńskiej w 1932, w czasie uroczystości 25-lecia śmierci genjalnego poety, a przedstawienie zdobyło aż potrójne wyróżnienie komisji artystycznej ministerstwa W. R. i O. P., przyznane reżyserowi, dekoratorowi i odtwórcy roli tytułowej, A. Szymańskiemu.

Ronard Bujański pokonał wszystkie trudności inscenizacyjne doskonale. „Dał przedewszystkiem — jak stwierdza krytyk W. Natanson — trafny zarówno z literackiego, jak i teatralnego punktu widzenia — układ tekstu. Włożył w pracę reżyserską cały swój talent, pomysłowość, wiedzę i dużą sumę pracy. Przedsięwziął umyślne w tym celu studja historyczne, studjował djarjusze sejmowe i prace Brücknera. W jedną ze scen wplótł tańce staropolskie. W sprawę dekoracyj i kostjumów włożył dużą sumę wspólnego trudu z p. Makojnikiem i prof. Morelowskim.

Szczególnie szczęśliwem wydaje mi się rozwiązanie problemu chórów, zainscenizowane w ten sposób, że wystąpiły na procenium, w przerwach między obrazami właściwego

Dr Jerzy Ronard Bujański prowadzi, jako reżyser, próbę ze sztuki „To więcej, niż miłość" Bus Fekete'go w Teatrze Miejskim w Łodzi.



dramatu, wzięły na swe barki stronę refleksyjną, filozoficzną dramatu, nie tracąc jednak niczego — dzięki szczęśliwym koncepcjom reżyserskim — z charakteru widowiskowego, teatralnego. Chóry w „Zygmuncie Auguście" miały, według koncepcji dra Bujańskiego, spełnić jeszcze jedno zadanie: uwydatnić znaczenie żywego słowa w tym dramacie. Reżyser starał się tu urzeczywistnić nową koncepcję mówienia wiersza na scenie, zrywając z szablonowem poetyzowaniem, dążąc natomiast do wydobycia z niego w sposób możliwie najsilniejszy — rytmu i sensu. Dr Bujański, który jest znawcą Wyspiańskiego i autorem gruntownej o nim pracy — dążył celowo do podkreślenia architektonicznej budowy wiersza w „Zygmuncie Auguście", niemal wydobycia frazy tonicznej".

„Zygmunt August" w tem opracowaniu zdobywa niebywały sukces artystyczny i kasowy. Grają go 50 razy: jak na Wilno cyfra olbrzymia.

Inscenizuje w Wilnie Ronard Bujański „Niebieskiego Ptaka" Maeterlincka, dając po raz pierwszy całość utworu, później kolejno w Teatrze Kameralnym w Warszawie wystawia „Wroga ludu" Ibsena i „Mazepę" Słowackiego, oba dramaty z K. Adwentowiczem w rolach głównych. dalej „Elżbietę, królową Anglji" Brucknera w Łodzi, i znaczną ilość komedyj współczesnych.

Po „Zygmuncie Auguście", najciekawszem osiągnięciem Ronarda Bujańskiego w dziedzinie reżyserji teatralnej było wystawienie „Mazepy". Reżysera, współuczestnika ruchu polskiej awangardy, szczególnie pociągała inscenizacja tego właśnie dramatu poety, będącego wciąż jednym z najnowocześniejszych pisarzy polskich. „Mazepa" — zdaniem Ronarda — ma cechy wybitnie nowoczesnego dramatu i dlatego realizacja sceniczna tego dzieła dążyła, jak stwierdza jeden z krytyków, do uwypuklenia nowoczesności dramatu, czyniąc jednak duże ustępstwa na rzecz ujęcia tradycyjnego. Silny nacisk położył reżyser na nowoczesną kulturę wiersza, nie zaniedbał jednak przytem bynajmniej sprawy gestów i gry twarzy, któremi silnie współdziałano z tekstem.

Ronard Bujański wyrósł w atmosferze kulturalnej Krakowa i z ducha twórczości Stanisława Wyspiańskiego. Stąd jego pasja do teatru Wyspiańskiego i wielkiego repertuaru, stąd jego głębokie przekonanie, żarliwie wyznawane i gorąco propagowane, iż na Wyspiańskim powinniśmy budować nasz polski teatr.

Nie dano dotąd Ronardowi Bujańskiemu swobodnej możliwości twórczej pracy teatralnej, mimo, iż przyznaje mu się powszechnie w tej dziedzinie pełne uzdolnienia i prawa. Gdyby nie niezrozumiałe posunięcia pewnej grupy społeczeństwa wileńskiego, byłby na przyszły sezon otrzymał dyrekcję teatru wileńskiego, byłby w tem mieście, gdzie romantyzm łączy się z współczesnością, gdzie wielka przeszłość kojarzy się harmonijnie z nowoczesnością — budował swoją redutę żywego słowa, teatr nawskroś polski, oparty o wielkie wskazania Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego, teatr torujący drogę przyszłości wśród gęstwiny zła i zaniedbania dnia dzisiejszego. (Na szczęście dla Wilna, teatr na Pohulance otrzymał człowiek również młody i twórczy, dr L. Pobóg-Kielanowski). Plany swe teatralne musiał narazie Ronard Bujański — młody „emigrant teatralny", bo go tak nazwać można — zamknąć w biurku i czekać...

Ale nie czeka Ronard Bujański na swój teatr z założonemi rękami. Pracując głównie na placówce radjowej, nie tylko rozwija działalność oświatową i kulturalną, tak ważną w środowisku robotniczem i kulturalnie zupełnie nowem, jakiem jest Łódź, ale także za pośrednictwem Radja propaguje kult żywego słowa i kult wielkiego repertuaru. W jego reżyserji rozgłośnia łódzka nadała „Pretendentów do tronu" Ibsena i kilka montaży poetyckich, jak „Wolność tragiczna" Wierzyńskiego, w jego opracowaniu rozgłośnia warszawska wykonała „Kleopatrę" Norwida.

„Każdy uczciwy człowiek teatru — pisze Ronard Bujański — musi przyznać, że z każdym sezonem coraz gorzej jest właśnie z t. zw. wielkim repertuarem. Te wystawiane dwa razy na sezon — „na odczepne" — utwory nie mogą gwarantować stałego rozwoju sztuki aktorskiej w tej dziedzinie i — więcej — nie mogą w żadnym wypadku wpływać na szerzenie kultu żywego słowa i znajomości literatury dramatycznej. To są — niestety — fakty. I tu właśnie należy podkreślić wielkie możliwości i zarazem wskazać na poważną rolę — radja.

Teatr Wyobraźni w walce o renesans t. zw. wielkiego repertuaru gra rolę wybitną. Po pierwsze: w dniach wyjątkowej posuchy i bezrobocia w tej dziedzinie — wystawia, realizuje w radjofonicznych montażach utwory o nieprzemijającej wartości; po drugie: wprowadzając do programu radjowego tego rodzaju radjofonizację, działa propagandowo w najlepszem tego słowa rozumieniu na montaż kultury teatralno-literackiej: po trzecie: stwarza może skromny narazie, ale przecież ważny warsztat pracy aktorskiej w zakresie właśnie t. zw. wielkiego repertuaru.

Dla ścisłości zaznaczam, — pisze dalej Ronard — że nie jest to jedyna funkcja Teatru Wyobraźni: dla mnie — i zapewne dla wielu — jednak bodaj w tej chwili najważniejsza.

Jest to realne przymierze: sceny z mikrofonem. Wspólny front".

Jakże ci, którym nie obca jest kultura w Polsce, rola i znaczenie radja, rola i znaczenie teatru narodowego, teatru wielkiej poezji i żywego słowa, teatru dobrego aktora, nie mają się sprzymierzać z programem działalności Ronarda Bujańskiego? Nie tworzyć z nim — wspólnego frontu? Nie iść z twórczą młodością?!

Stan. Witold Balicki.



Scena z „Wroga ludu" Ibsena, z K. Adwentowiczem (z podniesioną laską), w reżyserji Ronarda Bujańskiego w Teatrze Kameralnym w Warszawie. Fot. St. Floryan — Warszawa.



„Miała baba koguta", w inscenizacji Ronarda Bujańskiego w Teatrze w Pomarańczarni w Warszawie. Fot. J. Ryś — Warszawa.



„Niebieski ptak" Maeterlincka (obraz VIII), w inscenizacji Ronarda Bujańskiego w Teatrze na Pohulance w Wilnie.

„Zygmunt August" St. Wyspiańskiego (scena śmierci Barbary — Życzkowska i A. Szymański), w reżyserji Ronarda Bujańskiego w Teatrze na Pohulance w Wilnie.



Dokończenie ze str. 2-giej.

stawiono ją u dworu, gdzie pozostała w charakterze dwórki królowej. Wszystko ją cieszyło na dworze, zachwycała się wszystkiem, ale najbardziej podobał się jej sam król. Nie mówiła o tem nikomu, ale oczy jej z admiracją śledzące każde poruszenie monarchy, dawały wystarczające tego świadectwa. Dla wytrawnych dworaków nie było tajemnicą, że podziwia ona w Ludwiku XIII nietylko swojego króla.

Richelieu, któremu znane były wszystkie wydarzenia dworskie, postanowił wykorzystać ten moment, a ponieważ panna Hautefort była mu niewygodna, zdecydował na jej miejsce podstawić królowi małą La Fayette. Intryga powiodła się znakomicie. Wystarczyło tylko w zręczny sposób zwrócić uwagę monarchy na Ludwikę; reszta dokonała się sama. Młodziutka panna odrazu zdobyła królewskie serce słodyczą usposobienia, szczerością, dziecięcą naiwnością.

Ludwik XIII chętniej teraz przychodził z codzienną wizytą do żony, wiedział bowiem, że będzie miał możność przebywania w towarzystwie Ludwiki. Piękna była miłość tego dojrzałego, 35-letniego mężczyzny: głęboka, świeża, naiwna, zupełnie młodzieńcza. Aby zbliżyć się do dziewczyny i chwilę chociaż spędzić w jej towarzystwie, król organizował bale, zabawy, polowania, wyprawy w kilkaset koni. Nie zdarzało się nigdy, aby przebywał z nią sam na sam.

Najczęściej spotykali się w czasie wizyt króla w apartamentach królowej. Ludwik XIII wymieniał kilka słów z żoną, rozmawiał krótko z dworzanami, skierowywał się z Ludwiką do głębokiej wnęki okiennej, gdzie nie niepokojony przez nikogo, prowadził z nią długie rozmowy. O czem mogli ze sobą rozmawiać? Ten dojrzały, przedwcześnie zgorzkniały mężczyzna, nie wierzący w miłość i ta ledwo wyszła z dziecięctwa panienka, która nie śmiałaby nawet przypuszczać, że może kochać swojego króla. Nie mówili prawdopodobnie o miłości. On może skarżył się na swoją samotność, na ciężki zawód króla, może marzył głośno o znalezieniu prawdziwie oddanego serca, ona może go pocieszała, może wskazywała na jasne, piękne strony jego obowiązków, może zapewniała, że mógłby liczyć na jej, tak mało wprawdzie znaczącą, ale prawdziwą przyjaźń... Czasem, bardzo rzadko prosiła o względy dla innych. Nie dla swoich, nie dla tych nawet, którzy prosili o wstawiennictwo. Prosiła o łaskę dla naprawdę potrzebujących — nie myślała o wyciągnięciu jakichkolwiek korzyści dla siebie. Król spełniał zawsze jej prośby.

Dla nikogo nie było teraz tajne, że Ludwika de La Fayette zdobyła monarsze serce i że król gotów dla niej bardzo wiele zrobić. Zaraz też otoczona została siecią intryg, mających na celu z jednej strony wykorzystanie jej wpływu, a z drugiej — sparaliżowanie go. Rozpoczął się niesłychanie ciężki okres w jej życiu, gdyż nieświadomie stała się ośrodkiem zainteresowania całego dworu. Jedni schlebiali jej, inni nie kryli się ze swoją nienawiścią. Wkrótce nie miała na dworze ani jednego przyjaciela. Ci, którzy chcieli nią powodować dla cwładnięcia królem, odsunęli się, zrażeni nieustępliwością, z jaką odmawiała użycia swoich wpływów; partja przeciwna dokładała wszelkich starań, aby uniemożliwić jej pobyt na dworze.

Ludwika nie skarżyła się prawie wcale. Wiedząc, że w rozmowach z nią król znajduje ukojenie, nie okazywała mu smutnej twarzy. Była miła jak zawsze i starała się, aby miał jak najwięcej radości z jej towarzystwa.

Jednak pobyt na dworze stał się nie do zniesienia, gdy na czele tych, którzy chcieli usunąć ją, stanął wszechwładny minister — Richelieu. Ponieważ nie spełniła ona nadziei, które w niej pokładał, ponieważ nie stała się pionkiem w jego ręku, a przeciwnie przyznawała się szczerze, że jedynym człowiekiem, do którego czuje niechęć, jest właśnie Richelieu, postanowił ją usunąć. Król, który normalnie spełniał wszystkie żądania wszechwładnego kardynała, stanowczo się sprzeciwił usunięciu Ludwiki z dworu. Kochał ją, przyznawał się do tego i zapewniał, że nie może być ona dla nikogo niebezpieczna.

Richelieu jednak nie dał się przekonać. Postanowił działać dwiema drogami: osłabić miłość króla, albo skłonić Ludwikę do wstąpienia do klasztoru.

Pierwsza droga zawiodła zupełnie, mimo, że działano z całą przebiegłością. Listy króla do Ludwiki kierowano wprost do kardynała, a królowi przynoszono odpowiedź, że ona nie chce się z nim zobaczyć. Dziewczynę zapewniano, że król jest nią znudzony, że nie chce z nią mówić, że nigdy nie odczuwał dla niej przyjaźni Mimo, że dążono wszelkiemi drogami do pogrzebania uczucia, nie uzyskano rezultatu. Dopiero kiedy wciągnięto w grę uczucia religijne panny La Fayette, osiągnięto pożądany skutek.

Spowiednik jej odbywał najpierw konferencję z kardynałem Richelieu, potem spowiadał ją. Na rozkaz kardynała duchowni, którzy mieli z nią styczność, którzy kierowali jej sumieniem, namawiali ją, aby wstąpiła do klasztoru. Istnieje ciekawa korespondencja, dotycząca tej sprawy. Najtęższe głowy z otoczenia kardynała zjednoczyły się, aby pod jego kierownictwem walczyć przeciw młodej dziewczynie, której jedyną bronią była miłość. Czyż rezultat mógł być wątpliwy? Skończyło się tak, jak chciał wszechwładny minister: Ludwika de La Fayette z własnej, nieprzymuszonej woli wstąpiła do Karmelitanek.

Skończyła się jedynie piękna, jedynie prawdziwa miłość Ludwika XIII. Król szukał ukojenia w ramionach żony. Czy je znalazł?...

Ale Francja zyskała następcę tronu.

POSTÓJ WEEKENDOWY
Ag. Schostal — Wiedeń

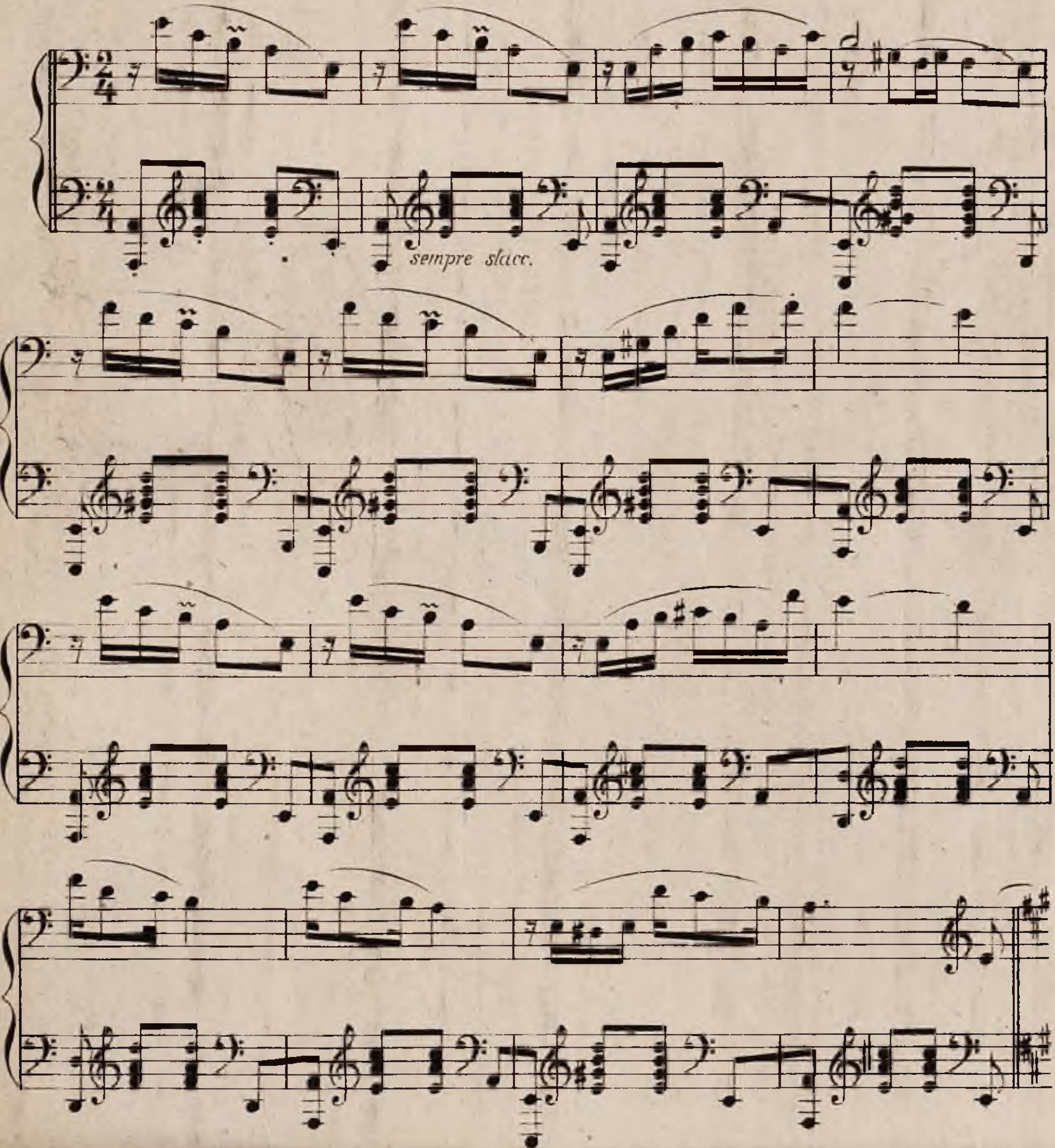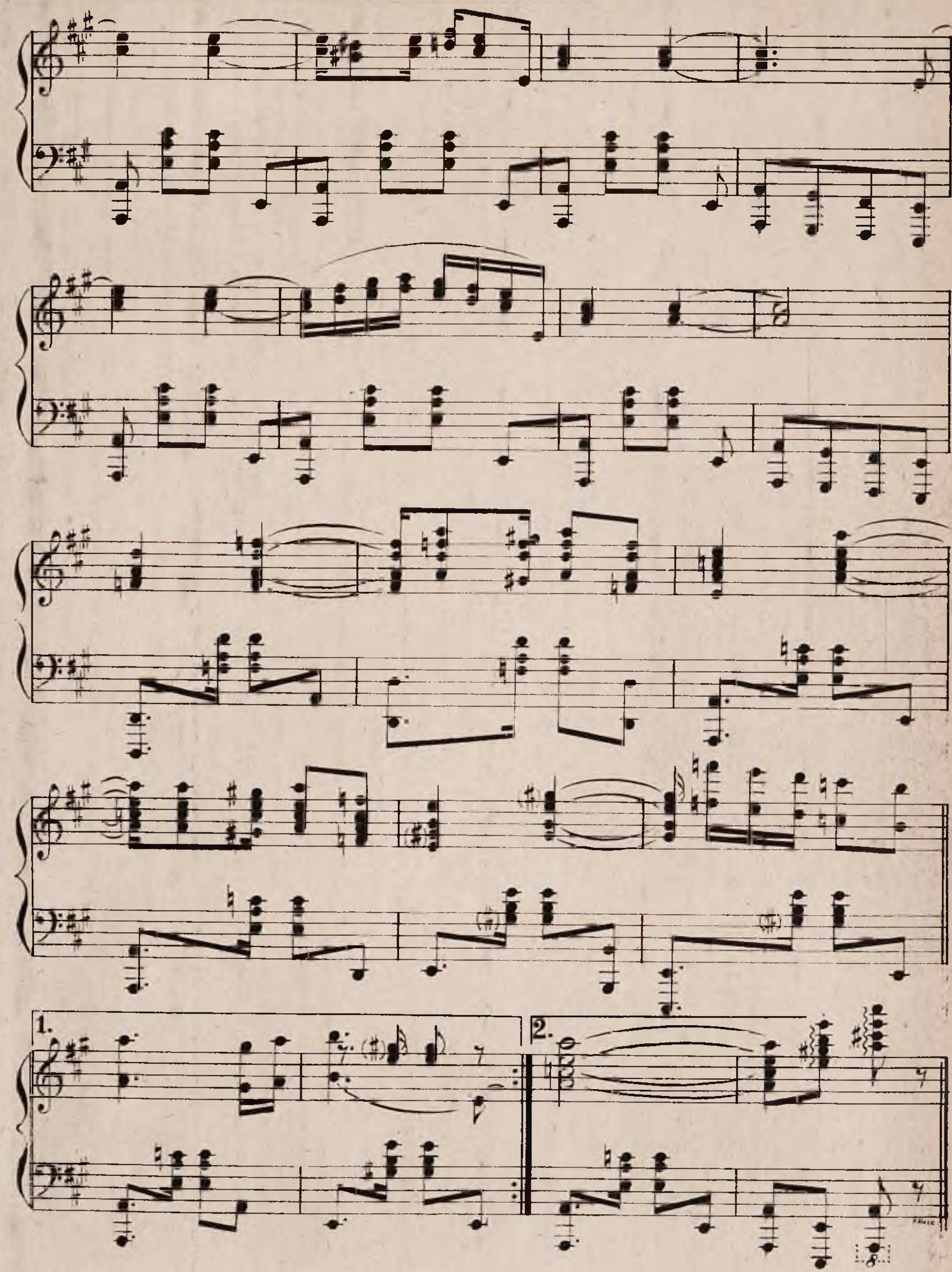


PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Kwieta

TANGO

ALFRED MÜLLER





Człowiek SPADA Z NIEBA

★

P. FABRIZIUS

Autor. tłum. A. S.

NOWELA

Miasteczko Mourrisson oddalone o dwie godziny od Paryża, wspaniale położone wśród gór, otoczone pachnącemi, iglastemi lasami, wyróżnia się swojem dobrem, bogatem w ozon górskiem powietrzem. W ten mniejwięcej sposób opisane jest ono w prospektach, gdyż Mourrisson jest ulubioną stacją klimatyczną.

W gorący ranek lipcowy, leżało miasteczko jeszcze cicho i zaspane.

Nagle usłyszano przeraźliwe wołanie: — Pani Varcot, pani Varcot! Na dachu pani domu siedzi mężczyzna!

Był to piekarczyk, który tak krzyczał. Pani Varcot wysunęła głowę za okno.

— Co? — zawołała na pół śpiąco, — co się stało? Jakiś mężczyzna? Na dachu? Co za mężczyzna?

— Zabawny mężczyzna! szalenie komiczny mężczyzna! — Młodzieniec trząsł się od śmiechu, nie odrywając swego spojrzenia od dziwacznego widoku. Ma czarną brodę i cylinder — dodał.

Piekarczyk nie skłamał. Na dachu domu wdowy Varcot siedział rzeczywiście komiczny człowiek. Wszyscy ciekawi, którzy szybko się znaleźli, obserwowali go ze zdziwieniem. Miał na sobie krzycząco niebieski surdut, coś w rodzaju fraka, popielatą kamizelkę, żabot, oraz wystający kołnierzyk od koszuli, który zakrywał jego podbródek aż po usta. Policzki ozdobione były bokobrodami, a na głowie miał śmiało na bakier nasadzony popielaty cylinder, którym obecnie uprzejmie wymachiwał, pozdrawiając zebranych. Przyniesiono drabinę, po której zeszedł na ziemię.

— Pozwalam sobie zapytać, gdzie się obecnie znajduję? — zasięgał wiadomości od bliżej stojących.

— W Mourrisson.

— Hm, jak daleko stąd do Paryża?

— Pociągiem dwie godziny.

— Pociągiem? — rzekł człowiek ze zdumieniem. — Co to oznacza?

Mieszkańcy miasteczka patrzyli na siebie ze zdziwieniem.

— Autem dojedzie pan może za półtorej godziny — powiedział jeden z nich.

Zdumienie obcego wzrastało. — Auto — zapytał. Co to za słowo i właściwie dlaczego jesteście wszyscy tak dziwnie ubrani?

Tego było za wiele dla dzielnych Mourrissonczyków. Żeby ten zabawny dziwak jeszcze czynił im zarzuty, że są zabawnie ubrani!

— Właściwie, co panu przyszło do głowy? —— zawołał porywczy młodzieniec. — Jak pan wygląda? Ty pajacu!

— W jaki sposób znalazł się pan na dachu? — zapytała wdowa Varcot.

— Z którego zakładu dla warjatów pan uciekł?

— Uważajcie, to jest tylko trik reklamowy. Zaraz będzie rozdawał kartki z napisem: „Zwiedzajcie Biedermayerowską wystawę", lub coś podobnego.

Babette, córka miejscowego lekarza, ochraniała nowo przybyłego od prześladowań. — Zostawcie go, sam opowie, kim jest i skąd się tu wziął!

Obcy uczynił charakterystyczny ruch: — przycisnął rękę do podbródka i rzekł w swej trochę specjalnej staroświeckiej mowie:

— Jak wam wszystkim pewnie wiadomo, przed dwoma laty anno domini 1783...

— Cóż to ma znowu znaczyć? Czy on myśli, że uwierzymy w każde głupstwo? Nie damy z siebie zakpić! Wypędźcie go...! Posadźcie go znowu na dachu!

Niektórzy byli już skłonni wykonać pogróżkę.

Wdowa Varcot podparła biodra rękami i rzekła:

— Więc pan twierdzi całkiem poważnie, że żyjemy w roku 1785?

— Naturalnie, że tak. Dzisiaj mamy 16-go lipca 1785 roku.

— No, wobec tego nie mam już nic do powiedzenia. Proszę opowiadać dalej.

— Przed dwoma laty — mówił dziwny człowiek — przedsięwziął Mongolfier swój pierwszy próbny lot balonem, napełnionym gorącem powietrzem. Od tego czasu zainteresowanie tego rodzaju próbami jest bardzo żywe. Życzeniem ludzkości byłoby raz bez strachu polecieć dalej. — Otóż właśnie przed dwoma laty Mongolfier odważył się na ten czyn, niedługo potem profesor Charles, później Blanchard, a dzisiaj o piątej godzinie rano wzniosłem się w górę z „Place du Mars" w Paryżu. Tysiące ludzi oklaskiwało mnie. Nazywam się Robert Méchant, zapamiętajcie to sobie dobrze! Niestety balon się zerwał ze sznura, wiatr uniósł mnie ku zachodowi, aż usiadłem trochę niewygodnie na dachu tej czcigodnej pani.

— A gdzie znajduje się balon, hę?

— Gdy tylko uwolnił się od ciężaru mej osoby, zaraz znikł w powietrzu.

Cała ta historja została potwierdzona przez młodego piekarczyka, który był świadkiem tego niezwykłego lądowania. Coś okrągłego i olbrzymiego wzniosło się w powietrze.

Zdania były podzielone co do dziwnego przybysza. Wdowa Varcot twierdziła, że jest złodziejem, który chciał się wślizgnąć do jej domu i zażądała oddania go policji. Właściciel korzennego sklepu, Arbert, opierał się przy mniemaniu, że jest to tylko zręczny trik reklamowy. Większość brała go za warjata. Tylko Tissot, który kochał bez wzajemności Babette, uważał go za jej adoratora, nie rozumiał tylko, w jakim celu siedział on w przebraniu na dachu. Gdy mateczka Boubousson, 95-letnia matrona, podzieliła jego zdanie, wpadła w olśnienie i przysięgała, że jej nieboszczyk mąż tak samo wyglądał, jak go poznała. Człowiek ten został pochowany temu lat czterdzieści i byłby już dzisiaj napewno miał stotrzydzieści lat. — W międzyczasie lekarz zaprowadził obcego do swego małego domu, by zbadać, czy przy lądowaniu nie został ranny.

W miasteczku o niczem innem nie mówiono, jak o człowieku, który spadł z nieba. Było wielu takich, którzy go nie widzieli, ale którym opowiedzieli dokładnie wszystko ci, którzy mieli szczęście go oglądać. Dziwnym trafem zmieniał się nastrój. Człowiek ów uważany był już nie za śmiesznego, ale interesującego osobnika. Niektórzy przesądni lub wyznawcy spirytyzmu, twierdzili, iż nie jest wykluczonem, iż balonem swoim nie przeleciał przestrzeni tylko z Paryża do Mourrisson, ale leciał już 150 lat. Inni myśleli, że może lata się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Ostatecznie jest to jeszcze niezbadany teren, nigdy nie można wiedzieć, co dzisiaj jest możliwem.

Trzeźwiejsi ludzie w miasteczku oświadczyli, że to, co mówią, jest nonsensem. Miasteczko zostało wciągnięte w wielką dyskusję. Nikt nie śpieszył do swej pracy: ludzie stali na ulicach, rozmawiając, tłumacząc, przekonywując...

Nagle nadjechało auto najmodniejszej aerodynamicznej konstrukcji. Wyskoczyło zeń trzech mężczyzn, jeden miał pod pachą walizkę doktorską.

— Czy tutaj może spadł balon? — zapytał któryś z panów.

Wszyscy przytaknęli. — Tak, to człowiek z 18-go wieku, nadzwyczajny człowiek! — Spojrzenie pełne czci towarzyszyło temu powiedzeniu.

— Czy on żyje? — zapytał krótko pan z teczką.

W ogólnym gwarze usłyszano odpowiedź, że człowiek ów znajduje się właśnie u lekarza miejscowego.

O całej prawdzie dowiedzieli się ciekawi Mourrissonczycy dopiero z gazet następnego dnia. Z wydłużonemi twarzami i trochę zawstydzeni czytali co następuje:

„Wesoły wypadek zdarzył się temi dniami przy zdjęciach filmu: „Pięć tygodni w balonie", który kręcony był na polu marsowem pod Paryżem, wedle dzieła Juljusza Vernego i z czasów pierwszych próbnych lotów z 1785 r. 26-letni statysta, Robert Méchant, który jako double głównego odtwórcy roli miał się odważyć na wzlot balonem najstarszej konstrukcji, ukazał się na lotnisku w stroju z ówczesnych czasów. Reżyser krzyczał, że jest źle uszminkowany, źle ubrany i że żaden człowiek mu nie uwierzy, że pochodzi z 18-go wieku. Aktor filmowy odpowiedział zdenerwowany, że charakteryzacja jego jest nadzwyczajna, a reżyser jest na niego zawzięty. Kłótnia zakończona została przez kierownika technicznego, który kazał balon przygotować do startu. Méchant wsiadł. Rozpoczęło się zdjęcie. Nagle z powodu silnego wiatru zerwał się sznur, na którym balon był umocowany i znikł on w kierunku zachodnim z siedzącym wewnątrz człowiekiem. Gdy Méchant po wylądowaniu na dachu zdał sobie sprawę ze swoich szans, zagrał rolę człowieka z 18-go wieku tak znakomicie, że połowa Mourrisson uwierzyła. Reżyser, który w godzinę potem przybył z lekarzem, nie może mu więcej zarzucić, że był źle ucharakteryzowany i że jest złym aktorem. Jego mały, oryginalny trik odniesie napewno powodzenie i mamy nadzieję, że zagra w swej pierwszej, większej roli równie dobrze i wiernie, jak na dachu wdowy Varcot".

dalszy ciąg ze str. 9-ej.

wał je. Z flanków dano do nich ognia. Na placu pozostało kilkudziesięciu zabitych. Amerykanie wycofali się spiesznie, zawracając do Sonory, by następnego dnia powrócić z alkadem na czele, który oznajmił nam, że w sprawie opłat zwrócił się do gubernatora, i że do nadejścia odpowiedzi zarządza zawieszenie broni i powrót do kopalni. W kilka dni potem przyszła odpowiedź, potwierdzająca zarządzenie i nadająca alkadowi prawo życia i śmierci nad cudzoziemcami. Tak zakończył się mój złoty sen.

Sprzedałem swe narzędzia i powróciłem do Stockton, gdzie wsiadłem do czółna, by po trzech dniach ujrzeć San Francisco. Mój towarzysz wraz z innymi udał się do Sierra Nevada.

Gdym Trevorowi opowiadał o mej kilkumiesięcznej wyprawie i zarobionych 50-ciu piastrach — powiedział:

— Spóźniłeś się o parę miesięcy. Gdybyś pół roku temu wyruszył po złoto — przywiózłbyś może tyle co ja, a może nawet więcej...

Szereg miesięcy po powrocie z placerów, zajmowałem się polowaniem w okolicach Sonory i Santa Rosa, na jelenie, niedźwiedzie, zające i kuropatwy. Z czasem przeniosłem się do Sacramento, gdzie kontynuowałem moje nowe rzemiosło, zarabiając do 400 piastrów tygodniowo.

Zwierzyna jednak wkrótce została w okolicy wytrzebiona i polowanie przestało się opłacać. Powróciłem do San Francisco i po naradzie z Augustem postanowiłem popracować trochę w mieście, zorjentować się w stosunkach i założyć własne przedsiębiorstwo. Po dwóch miesiącach wynająłem lokal w domu, przy głównej ulicy i założyłem restaurację. Czynsz wynosił 800 piastrów miesięcznie, mój majątek zaś 5.350. Nie było czasu do stracenia..

Dochód mój z restauracji rósł z dnia na dzień. Oszczędności w złocie lokowałem w żelaznej kasie. Z ufnością i spokojem myślałem o jutrze, aż pewnego dnia niespodziewanie usłyszałem okrzyk: „pali się!"

Hasło to w San Francisco posiada specjalnie groźną wymowę. Całe miasto zbudowane z drzewa — jest właściwie stosem łatwopalnego materjału. To też pożary zdarzają się tutaj dosyć często, tembardziej, że istnieje prawo, które podsyca te klęski. Prawo to mówi, że temu, kto pogorzał, skreśla się wszystkie długi — nawet długi karciane....

Pożar wybuchł w sąsiedniej piwnicy. Po chwili paliły się już i moje składy alkoholu. Cały dom w jednej chwili stanął w płomieniach. Ledwo zdołałem wyskoczyć oknem i ocalić życie. Do sąsiednich domów wrzucano baryłki z prochem, aby poczynić wyrwy w szeregach domów i temsamem ocalić inne. Nie na wiele jednak to się przydało. Dął silny wiatr i ogień trawił w niedługim czasie całą już dzielnicę piekarzy. Muszę przyznać, że płonący alkohol, wybuchy prochu — wyrzucające w górę żagwie i kłęby czarnego dymu — tworzyły obraz niezapomnianej, groźnej wspaniałości.

Nieszczęście chciało, że pożar wybuchł właśnie w czasie odpływu morza. W całem mieście brakuje w tym okresie wody. Wspaniale prezentująca się straż pożarna przyjechała, jednak beczkowozy były puste. Wszystko to wyglądało tak, jakby ogień podłożony w odpowiedniej porze chciano podsycić. Sikawki bowiem prychające powietrzem, rozdmuchiwały ogień...

Niepodobna sobie wyobrazić, jaki hałas i rwetes wówczas panował. Tysiące usłużnych ratowało dobytek pogorzelców. Amerykanie biegali, kręcili się w koło, wpadali do mieszkań i toporami rozbijali meble. Mnóstwo ludzi było zupełnie pijanych. Właściciele domów bronili się przed pomocą natrętów, jednak nic to nie skutkowało. Ostatni ich dobytek był niszczony w najlepszych zamiarach przez ratujących, lub „ulatniał" się w dziwny sposób... Pożar trwał 3 godziny. Spaliło się 270 domów.

Wraz z memi znajomymi pilnowałem pogorzeli, wreszcie po 3-ch dniach rozpocząłem kopać w poszukiwaniu mej kasy. Po kilku godzinach pracy znalazłem stop wielkości piłki — pokryty żyłami srebra i złota. Cały mój majątek przepadł.

Kulę kupił pewien Anglik za 100 piastrów, jako osobliwość dla muzeum w Londynie. Sprzedawszy wszystko co mi pozostało, zyskałem 400 piastrów...

— Spłonąłeś i zastanawiasz się, czy rozpocząć od nowa — zagadnął Trevor. Radzę ci zrób to, póki masz trochę pieniędzy.

— Ten pożar odebrał mi ochotę do wszystkiego — odpowiedziałem.

— A jednak, pomimo pożaru miasto rośnie. Przybywa coraz więcej ludzi. Zaczyna się budować domy murowane. To zapowiedź trwałej pomyślności. Słyszałem, że na terenach przyportowych ma powstać nowa, wspaniała dzielnica murowanych domów. Ceny gruntów idą w górę.

Nagle przypomniałem sobie o mej parceli. Trevor, któremu opowiedziałem o niej, nie chciał wierzyć.

— Ależ człowieku! — to przecież tam, gdzie mają zacząć budować...

Następne dni spędziliśmy razem, ślęcząc nad planami parcelacyjnemi i rachunkami. Część parceli sprzedałem. Zacząłem budować. Koszty były olbrzymie. Wynosiły pięć i pół miljona. Pożyczka na budowę murowanego domu znalazła się jednak szybko. Dom nazwałem „Eldorado" i wynająłem go jeszcze przed wykończeniem. Czynsz przyniósł 625.000 franków miesięcznie.

Grunt ustępowany przed paru miesiącami prawie za darmo, podrożał ogromnie. Płacono 150.000 franków za 100 stóp kwadratowych. Jeden z moich znajomych kupił na licytacji w 1850 r. grunt za 60.000 franków, płatnych w pięciu latach, a już w tydzień wynajął go za 75.000 na 18 miesięcy, z tem, że wszelkie budowle na nim wzniesione miały należeć do niego w przyszłości.

W miarę, jak rosło bogactwo obywateli, miasto stawało się wprost nieprawdopodobnie drogie. Lekarze brali po 100 franków za wizytę. Butelka wina kosztowała 23 piastry, kieliszek wódki 2 piastry...

W krótkim czasie spłaciłem dług za dom. Zacząłem stawiać nowe gmachy. Kupowałem parcele za miastem. Dziś jestem bogatym człowiekiem, który dorobił się w krainie złota — na ziemi, i którego złoto omal nie przywiodło o śmierć.

* * *

Lubię chodzić wieczorami po mieście i zaglądać do kasyn. — Sam wprawdzie nie gram — jednak uważam widok graczy za pasjonujący. Niedaleko portu, w śródmieściu znajduje się kilka szulerni. Chodzą tam przeważnie przybywający z kopalń robotnicy. Widziałem niejednego, jak przegrywał sztaby złota, wartości 50.000 franków i pił na kredyt, obiecując zapłacić po powrocie z kopalni. Ledwo odnaleziono złoto, a już okazała się potrzeba tracenia go...

Tam nie gra się o monety! Ludzie wygrywają i przegrywają góry złota, odważane na wielkich szalach, stojących po obu stronach stołu. Największym domem gry jest „Goldregion", do którego uczęszczają prawie wszy-

dalszy ciąg na str. 31-ej.



WŚRÓD PAŃ WARSZAWSKIEGO HIGH LIFE'U

NEDY ⋆ TRAYANOW

Ewenementem życia towarzyskiego stolicy jest od trzech lat corocznie urządzany w okresie Zielonego Karnawału „Stylowy Wieczór" w Łazienkach Królewskich. I w tym roku wspaniała rezydencja króla Stasia odżyła na tę jedną noc całą świetnością zabaw ongiś w niej urządzanych, goszcząc w swych salonach na Stylowym Wieczorze najwytworniejsze sfery stolicy, cały korpus dyplomatyczny, przedstawicieli świata artystycznego, literatury i sztuki.

Do nader urozmaiconego programu wieczoru należał też konkurs toalet, w szranki którego weszły panie, strojne zarówno w ostatnie kreacje mody, jak i toalety wzorowane na stanisławowskiej epoce.

Wśród laureatek konkursu ogólną uwagę zwracała swą młodzieńczą krasą i wdziękiem panna Nedy Trayanow, córka Ministra Pełnomocnego Królestwa Bułgarji. Nie pierwszy to raz spotyka młodziutką Bułgarkę takie wyróżnienie na polskich salonach. Czy to na balach reprezentacyjnych, czy też na przyjęciach w kołach dyplomatycznych, jej nieprzeciętna uroda, podkreślona wytworną prostotą i towarzyską swobodą, ściąga na siebie ogólną uwagę i zdobywa przebojem wszystkie serca.

Rozmowę z panną Nedy rozpoczynam oczywiście od pytania „Jak się czuje w Polsce".

— Bardzo dobrze — odpowiada panna Nedy z entuzjazmem. Z przykrością myślę, że trzeba będzie kiedyś opuścić ten piękny kraj i tę miłą Warszawę.

Nadmienić należy, że rozmowa toczy się w języku polskim, którym panna Nedy włada zupełnie poprawnie.

— Czy opanowanie języka polskiego przedstawiało dla Pani wielkie trudności?

Panna Nedy uśmiecha się w swój zwykły, jakże ujmujący sposób:

— Zupełnie się po polsku nie uczyłam — słyszę odpowiedź — a wprawy nabyłam jedynie w ten sposób, że po polsku rozmawiałam najpierw z naszą polską służbą, a następnie, zachęcona powodzeniem w opanowaniu języka, zaczęłam nim coraz częściej posługiwać się w polskiem towarzystwie, w którem się bardzo dobrze czuję.

— Ależ w takim razie posiada pani wybitne zdolności językowe!

Panna Nedy jest bardzo skromnem dziewczęciem: nie lubi się chwalić i chociaż rozmowa nasza trwała długi czas, a tematem jej była głównie osoba panny Nedy, starannie unikała podkreślania jakichkolwiek swoich zalet.

— Oprócz ojczystego, znam języki angielski, francuski, niemiecki, rosyjski, a najlepiej z obcych języków władam włoskim, w którym otrzymałam wykształcenie szkolne. Wszystkiemi temi językami władam biegle.

Pogawędka nasza, w miłym nastroju, przeciąga się. Poruszamy wiele tematów, z których każdy mimowoli powraca do... wiośnianej młodości panny Nedy Trayanow. Bo jakżesz! Gdy się ma niespełna dwadzieścia lat, wybitną urodę i ów piękny, beztroski, a szczery uśmiech, o czemże innem można myśleć i mówić, jak nie o zabawie, tańcach, wieczorach towarzyskich? Wspomnienia z ubiegłego karnawału, już drugiego, jaki panna Nedy spędziła w Polsce, tematy aktualne sezonu wiosennego stolicy, pełnego imprez, stojących pod względem towarzyskim na najwyższym poziomie, snują się miłem nieprzerwanem pasmem. Panna Nedy — jak się okazuje, ma dwie pasje — muzykę i taniec. Uczęszcza stale na koncerty i wieczory muzyczne. Niemniej pilnie uczęszcza na wszelkie przyjęcia, jakich wiele dostarcza życie towarzyskie Warszawy.

— A jak się pani podobają tańce polskie? — zapytuję, gdy mowa o tańcach, o tej ulubionej rozrywce panny Nedy.

— Przecudny jest kujawiak — mówi wesoło panna Trayanow. Specjalnie się go uczyłam i tańczę go z przyjemnością.

— W takim razie przypuszczam, że gdy Pani powróci do swej ojczyzny, zawiezie pani tam naszego kujawiaka i może rozpowszechni w gronie swoich tamtejszych przyjaciół!

— O tak! — kończy panna Nedy. I kujawiak i wszystkie inne pamiątki, jakie wywiozę z Polski, będą dla mnie zawsze najmilszem wspomnieniem waszego wspaniałego kraju.

Z. Ord.



„Prababki” na plaży...

Przyzwyczailiśmy się już wszyscy do tego, że plaża stanowi ważną i niezbędną pozycję tak w dziedzinie sportów i kultury fizycznej, jak i życia towarzyskiego. Najwytworniejsza śmietanka salonów stolic cywilizowanego świata „kipi” corocznie pod wpływem kanikuły daleko poza brzegi miejskiego garnka, aby wypłynąć szumną i rozbawioną falą nad piaszczyste brzegi Atlantyku, Adrjatyku, Bałtyku czy Oceanu Spokojnego.

Rafinowane tualety, futra i klejnoty zastępuje skrawek trykotu, dystyngowane konwersacje, wspinające się po wyżynach literatury, sztuki, polityki i zagadnień socjalnych — ustępują miejsca beztroskim igraszkom, wymyślne „maquillage” rozpuszczają się wraz z neurastenją, kompleksami i „zgryzami” nowoczesnego człowieka w słonej, ożywczej fali morskiej...

Zadomowiliśmy się na plaży, przyzwyczaili do jej dobroczynnego działania na nasze zdrowie i samopoczucie, do jej specyficznego nastroju i całkiem swoistych kanonów towarzyskich. Trudno nam też sobie wyobrazić, że nasi nawet całkiem nie tak dalecy przodkowie nie znali tej rozkoszy.

Historja plaży jest bardzo „młodą”, gdyż na serjo mówić o niej można dopiero od czasów cesarzowej Eugenji, która narzuciła eleganckiemu Paryżowi modę wyjeżdżania latem nad morze. Ponieważ piękna władczyni była wtedy prawdziwą królową salonów i nadawała ton życiu towarzyskiemu, moda ta przyjęła się szybko i kąpieliska poczęły wyrastać na wybrzeżach Francji jak grzyby po deszczu. Pożal się Boże, jak one wyglądały! „Parę drewnianych bud, pozbawionych wszelkich wygód i komfortu, w których każą nam przez parę tygodni tęsknić do naszych puchowych łóżek i przytulnych apartamentów paryskich...” — pisze jedna z ówczesnych elegantek, wygnanych surowym nakazem snobizmu do Trouville.

Ale naogół robiono „bonne mine au mauvai jeu”, rozkoszowano się sielskiemi „plaisirami” i flirtowano w cieniu koronkowych parasolek nie gorzej, niż w Paryżu.

Wadziło w tem wszystkiem najwięcej słońce, bezwzględne dla wydelikaconych twarzyczek, przypominających raczej sewrską porcelanę, niż żywą, naturalną ludzką karnację. Chroniono się też przed niem starannie pod parasolkami i wualami zakrywającemi twarz, i tak już dostatecznie ocienioną szerokoskrzydłą „pasterkę” ze słomy. Ręce kryto w mitenkach lub rękawiczkach, ochładzano się lemonjadą i wachlarzem, kąpiel w morzu pozostawiając ryzykantom i oryginałom, którzy ośmielali się twierdzić, że to jest wcale przyjemne...



W takim oto stroju elegantki XIX-ego stulecia kąpały się w modnem naówczas Deauville.



W Palm-Beach odbył się pokaz strojów kąpielowych z początku bieżącego wieku.

Zdjęcia Associated Correspondents — Amsterdam.

I tak trwało dość długo. Pomału tych ryzykantów znajdowało się coraz więcej, aż wkońcu, z wyjątkiem słabowitych lub starych, wszyscy zaczęli używać tej emocjonującej przyjemności, która w dodatku miała posmak lekkiej perwersji i... nieprzyzwoitości.

Bo pomyślcie sobie: trzeba było odrzucić krynoliny i falbany, kokardy, turniury, kwiaty i pióra i ubrać się w dziwaczny strój, któryby pozwolił zanurzyć się w wodzie na oczach wszystkich. Dbano też o to, aby był w miarę solidny i „comme il faut”. Obowiązywała w niem nadal wcięta, do osy kobietę upodabniająca talja, a składał się on około lat osiemdziesiątych z obcisłego stanika z krótkiemi rękawami, szerokiej fałdowanej spódniczki i figlarnie, a nieśmiało wychylających się z pod niej majteczek, zakończonych marszczoną falbaną. Fryzurę ochraniała czapeczka lub kapelusz z ceraty lub gumy, zdobny w riusze, kokardy i kunsztowne „koki”.

Z czasem nakazy mody zmusiły elegantki końca ubiegłego stulecia do odrzucenia wciętych „corsage’ów” i posługiwania się strojem kąpielowym, niemniej wprawdzie „cnotliwym” i pod szyję zapiętym, lecz luźnym i swobodnym w kroju. Obszerne i odpowiednio niezgrabne kaftany opadały na długie — najczęściej do kostek — pantalony, bufiaste, marszczone i do ostatnich granic groteskowe!

Istotą życia plażowego była jednak nadal nie tyle kąpiel, ile siedzenie na piasku w wytwornych aczkolwiek z otoczeniem nielicujących pozach, a jedynie nieliczni śmiałkowie próbowali sportu wioślarskiego. Wyjeżdżano na morze w łodziach rybackich, panowie w niepokalanych pepitkowych spodniach i w słomkowych kapeluszach à la Girardi, panie w skomplikowanych muślinowych tualetach, uzbrojone w parasolki i rękawiczki. Opalanie się bowiem było niedopuszczalne, jako że ogorzała od słońca karnacja nadawała wygląd „gminny” i nie licowała żadną miarą z dystynkcją ówczesnych elegantek.

Dziś wydaje się nam to wszystko jakąś historją starożytną, czemś zupełnie nieprawdopodobnem i odległem. Ale przejrzyjmy tylko albumy z fotografjami naszych babek, a nawet i matek, a przekonamy się łatwo, że jeszcze ćwierć wieku temu życie na plaży wyglądało zupełnie inaczej, niż dziś.

E. M.



Scena z plaży z czasów Maupassant'a.



Jak widzimy „Kabiny” na plaży pozostawiały wtedy nieco do życzenia!

Dbajmy o rzęsy!



Nakładanie szczoteczką tuszu na rzęsy ściemnia je i wydłuża. *Fot. Mundi, Amsterdam*

Patrzymy z podziwem na długie rzęsy Grety Garbo i zazdrościmy jej tej niezwykłej istotnie oprawy oczu, odkąd film ukazał je w całym blasku, powiększając ich obraz i zbliżając do widza. Wszystkie artystki ekranu, estrady i sceny zapragnęły szczycić się podobną długością rzęs. Nie było to trudno w dzisiejszym stanie sztuki kosmetycznej. Wnet znalazły się sztuczne rzęsy, które świat kobiecy natychmiast zastosował do swych potrzeb.

Ale my nie będziemy do nich namawiać naszych Czytelniczek: wprost przeciwnie. Powiemy wszystkim paniom, że najpiękniejsze dla nich są własne rzęsy, byle były starannie wypielęgnowane. Jak mamy pielęgnować łuki brwi, aby stanowiły piękne ramy dla oprawy oczu, tak też dbać trzeba również o rzęsy, które podkreślają piękno i wyraz samej gałki ocznej, wychylającej się z ich ciepła w całym właściwym jej blasku.



Wieczorem należy brwi pociągnąć lekko wazeliną... *Zdjęcia C. Anders, Paryż*

Rzęsy w kosmetyce traktujemy podobnie jak brwi. Codzienne natłuszczenie brwi nadaje im połysk i wzmacnia ich wzrost. Również i rzęsy wymagają podobnej pielęgnacji. Małą szczoteczką, lekko natłuszczoną właściwym kremem lub wazeliną, podczesać je należy codziennie przez pół minuty, wykonując ruchy szczoteczką od nasady brwi ku ich końcom. Nada im to z czasem ładny „fason", odwinięty na zewnątrz.

Stosując makilaż do powiek i rzęs pamiętajmy, że musi on być przedewszystkiem bardzo dyskretny. Niema nic bardziej wulgarnego i śmiesznego jak poczernione oczy. Powieki mogą być tylko delikatnie przyciemnione dla wydobycia efektu głębi spojrzenia. Kolor musi w tym wypadku odpowiadać barwie oczu. Oczy niebieskie wymagają odcienia szaro-niebieskiego, czarne brązowego, a zielonawe odcienia jasno-brązowego. Bardzo korzystnie jest pociągnąć powieki nieco wazeliną przed użyciem szminki, gdyż zwłaszcza wieczorem daje to doskonały efekt.

Przy letnim makilażu zwracać trzeba uwagę na otoczenie, w jakiem się znajdujemy. Nad morzem, na plaży, gdzie wszystko jest oświetlone na złotawym podkładzie piasku, trzeba jako podkładu używać do makilażu odcieni żółtawych, harmonizujących z opalenizną. Wieczorne oświetlenie elektryczne wielkich sal restauracyjnych czy teatralnych, wymaga podkładu ciemniejszego, do ciemnych oczu w odcieniu brązowawym, do niebieskich w lekko zielonawym.

Na wolnem powietrzu, w otoczeniu zieleni, każdy sztuczny odcień na twarzy wychodzi bardzo drastycznie. Używać więc najlepiej samego tylko pudru, a im bardziej naturalny będzie jego odcień tem lepiej.

W czasie podróży morskiej, kiedy ton nadaje błękit nieba i wody, ładnie wygląda cera, gdy pamiętamy o niebieskawym odcieniu różu, o wpadającym w lekki fiolet karminie do ust i ciemnoniebieskim ołówku do rzęs, co pogłębia tajemniczy wyraz oczu.

Ale każdy odcień musimy dokładnie przestudjować przed lustrem i dostosować do indywidualnych cech urody. O tem nie wolno ani na chwilę zapominać.

Elwira.



Szczotkowanie rzęs ku górze, od ich nasady ku końcom, należy wykonywać codziennie.



Suknia stylowa czy nowoczesna?



Stylowa suknia balowa z koronki spięta przy wycięciu pękiem pastelowych kwiatów. Odpowiednie do tualety uczesanie przypomina modę z lat 90-tych ubiegłego stulecia.

Fot. Imre v. Santho Wien

Najpełniejszy wyraz mody każdego sezonu znajdujemy w tualetach strojnych — wieczorowych i balowych. Suknie przeznaczone do sportu i pracy, do spacerów i skromniejszych wizyt, z konieczności muszą się liczyć z wymogami praktyczności i wygody, w której nowoczesna kobieta, pozbywszy się raz gorsetów, fiszbinów i zamiatających ulice długich spódnic, nie zrezygnuje pod żadnym pozorem. Nie pozwala na to przedewszystkiem tryb jej życia i jego szybkie, nerwowe tempo, dzielące dzień między pracę zawodową, interesy, sprawunki i — last but not least — sporty! Komponując więc suknie czy kostjumy przedpołudniowe czy sportowe, wielcy twórcy mody są do pewnego stopnia skrępowani w swej fantazji — natomiast jeśli chodzi o tualety wieczorowe, znajduje ona pełne pole do popisu.

Dlatego też stroje balowe mówią nam najwięcej o stylu epoki.

Tegoroczna moda wieczorowa na sezon letni jest prawdziwą rewelacją. Zaniechano w niej zupełnie prób przeszczepienia „rzeczowości" i surowej linji strojów sportowych i spacerowych kostjumów na teren salonu, sali dancingowej czy balowej. Wieczorowe kostjumy, smokingi i fraki, maskulinizujące sylwetkę kobiecą, należą już do przeszłości. Nastąpił bujny renesans kobiecości, powiewności, fantazji i wdzięku — a przedewszystkiem jasnych, śmiałych i soczystych barw. Paryż nareszcie zdecydował się zdjąć swą wieczną, dystyngowaną, ale i nieco ponurą żałobę. Zamiast wytwornej czerni na sali balowej zakwitły suknie kobiece najsubtelniejszemi barwami, jak łan wiosennych kwiatków. W obecnej modzie wyczuwamy jakiś odcień reminiscencji klasycznych, zaczerpniętych z pogańskiej mitologji. Przejawia się to nawet w nazwach nowych kolorów: w modę wchodzą jako ostatni jej krzyk odcienie niebieskie, zwane „bleu bacchante" i czerwone „rouge Jupiter". Tualety wzorują się na antycznych posągach, swobodne i powiewne przypominają szaty greckich menad.

Obok wzorów klasycznych, w tegorocznej wieczorowej modzie widzimy refleksy dawno minionych epok i stylów: kreacje z gazy czy organdi przypominają boticellowską „Primaverę", spotykamy też szerokie krynoliny z portretów Winterhaltera, bufy, falbany i tiurniurowe podpięcia naszych prababek, i romantyczne szerokie spódnice z epoki walców straussowskich. Nawet księżna Windsor, najelegantsza dziś kobieta w Europie, sprzeniewierzyła się swym ulubionym obcisłym tualetom, podkreślającym tak cudownie smukłość jej figury, ulegając czarowi tej profuzji powiewnych materjałów, otaczających sylwetkę jakby kielichem kwiatowych płatków.

Tiul, koronki, organdi i gaza — oto najmodniejsze dziś materjały na letnie toalety balowe. Kombinuje się je i zestawia w najrozmaitsze sposoby: stare koronki aplikuje się pasami na tiulu, tiul naszywa

się szerokiemi atłasowemi wstążkami, do sukien z gazy „imprimée“ w ogromne, barwne kwiaty nosi się szarfy z gazy gładkiej, do obcisłych staniczków z matowego jedwabiu szerokie, suto marszczone spódnice z jaśniejszej gazy, naszywanej u dołu wstążeczkami ułożonemi w festony i kokardki, przypominające epokę rokoka. Takie stylowe suknie wymagają i znoszą dużą ilość ozdób: falbany, rusze, aplikacje z czarnej koronki na pastelowej gazie, wstążki, kokardy, pęki kwiatów i girlandy listków, ażury, ręczne hafty, plisy i drobniutkie zakładki — profuzją swą i subtelnością wykonania przypominają toalety naszych babek. Jest to moda nie licząca się z kosztami, rozrzutna i pełna fantazji, nie cofająca się nawet przed marnotrawstwem. Ma się wrażenie, że Paryż, zdopingowany spodziewaną wizytą królewskiej pary angielskiej z liczną świtą, postanowił prześć wszystko, co dotychczas stworzył w dziedzinie estetyki i luksusu toalet, olśnić i oczarować bez reszty przybyszów z poza burzliwego kanału. I napewno uda mu się to w zupełności!

Ale obok kreacyj „historycznych“, sięgających po wzory do dawnych epok, szukających natchnienia po muzeach i galerjach — istnieje szereg modeli niemniej wytwornych, ale nawskróś nowoczesnych. Dopuszczają one mniej fantazji i tzw. strojności, obywają się bez licznych ozdób, kładąc największy nacisk na prostotę, ale i rafinowanie linji, na subtelność kroju, modelującego wiernie sylwetkę nowoczesnej, wysportowanej kobiety.

Krój ten polega przedewszystkiem na umiejętnem zastosowaniu marszczeń i drapowań, w szczególności na linji biustu i bioder. Linja stanu pozostaje w nich przeważnie niezaznaczona, to podnosząc się wysoko ponad normalny stan, to opuszczając się nisko na biodra. Dekolt tych toalet pozostaje naogół wierny zasadzie: z przodu jak najmniejszy, na plecach jak największy.

Przy wyborze toalety wieczorowej pozostaje więc otwarte zasadnicze pytanie: stylowa czy nowoczesna? Dla rozstrzygnięcia tego pytania koniecznem jest jasne zdanie sobie sprawy z typu i stylu swej powierzchowności. Pamiętajmy, że stylowa toaleta jest wtedy dopiero naprawdę stylowa, gdy nosi ją kobieta o sharmonizowanym z nią typie. Kobieta niska i nieco krępa wyglądałaby równie śmiesznie w drapowanej tunice „a l'antique“, jak ultranowoczesna, wysportowana i nieco męska garsonka w powiewnej krynolinie z epoki cesarstwa. Stylowa suknia wymaga odpowiedniego owalu twarzy, rysów, linji sylwetki, a przedewszystkiem odpowiedniego uczesania. Do stylu toalety trzeba dobierać styl fryzury, a mamy ich cały szereg do wyboru, począwszy od romantycznych loków, poprzez fryzury paziowskie à la Greta Garbo, aż do stylizowanych, kunsztownych kreacyj Antoine'a, srebrzonych, złoconych i lakierowanych.

Fakt, że w tym roku modne są zarówno krynoliny jak greckie szaty, zarówno obcisłe wysmuklające „princesse'y“, jak suknie szerokie i powiewne, nie znaczy wcale, że każdej z nas będzie jednako do twarzy w każdym z tych typów. Zależy to od naszej powierzchowności, od jej stylu i zasadniczego charakteru.



Nawskróś nowoczesna w linji letnia tualeta wieczorowa podkreślająca smukłość sylwetki, uszyta jest z jedwabiu w duże stylizowane kwiaty na czarnem tle i przepasana szeroką szarfą z gazy w kolorze kwiatów.

Fot. Imre v. Santho Wien.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK. Pół litra kwasu ogórkowego lub żytniego, miesza się z rosołem nagotowanym z kości i jarzyn, zagotowuje i podprawia 1/8 l. śmietany i łyżką mąki. Kolor nadaje się utartym na tarle surowym buraczkiem, po powtórnem zagotowaniu dodaje się soli i cukru wedle smaku, łyżkę kopru, jaja ugotowane na twardo, szyjki rakowe, ogórka surowego lub kiszonego, pokrajanego w plastry. Można również dodać kawałek pieczeni cielęcej lub trochę szynki, pokrajanej w kostkę lub też rybę gotowaną, obraną z kości i rozdrobnioną.

RYBA W SOSIE KOPROWYM. Ugotowaną w słonej wodzie rybę, układa się na salaterce. Szklankę rosołu z pod ryby ubija się z szklanką śmietany żółtkiem i łyżeczką mąki, następnie wstawia do naczynia z gorącą wodą i ubija na parze aż dobrze zgęstnieje. Krem kontroluje się czy dość słony, dodaje łyżkę siekanego kopru, polewa nim rybę i podaje na ciepło z makaronem lub na zimno z bułką.

PASZTET Z WĄTRÓBKI CIELĘCEJ. 25 dkg wątróbki cielęcej opieka się szybko na maśle z cebulką, następnie miele z dwiema rozmoczonemi w mleku bułeczkami, otartemi poprzednio z wierzchniej skórki. Osobno uciera się 2 żółtka z smalcem wytopionym z 10 dkg tłuszczu od szynki lub z takąż ilością masła, dodaje szczyptę soli, pieprzu i gałki muszkatułowej, miesza z wątróbką i pianą z 2 białek oraz z łyżką tartej bułki. Formę budyniową smaruje się masłem, nakłada warstwę masy, przekłada twardemi jajami lub wątróbkami z drobiu, daje drugą warstwę masy, poczem zamyka się formę i gotuje pasztet na parze przez trzy kwadranse. Również pieczony pasztet ten jest dobry, należy tylko strzec go przed zbytniem wysuszeniem, dlatego czas pieczenia nie śmie wynosić więcej, jak 30 minut.

SAŁATKA ANGIELSKA. Puszkę zielonego groszku (może być również świeżo gotowany) odcedza się, przestudza i miesza z szklanką ubitej kremowej śmietanki. Ułożony na środku salaterki groszek przybiera się plastrami pomidorów i środkami sałaty, kropionemi sokiem cytrynowym, zmieszanym z cukrem i solą. Przed podaniem zastudza się sałatkę na lodzie.

JAJA I OZOREK CIELĘCY W SZARYM SOSIE. Sparzony ozorek, obciąga się z błony i gotuje w małej ilości osolonej wody lub rosołu. Osobno gotuje się następujące dodatki: małą cebulkę, garstkę korzeni tj. liść bobkowy, pieprz angielski i zwykły, jałowiec, po parę ziarnek z wszystkiego, kawałek skórki cytrynowej, szklaneczkę wina czerwonego i 5 dkg piernika. Po 20 minutach gotowania fasuje się sos przez sito, dodaje 3 dkg parzonych migdałów, pokrajanych cienko i 3 dkg rodzynków, wkłada ugotowany ozorek, pokrajany w plastry i kilka jaj pochés, tj. wypuszczonych na wrzącą wodę i gotowanych przez 4 minuty. Potrawę tę podać można na zimno lub na ciepło, należy ją tylko kontrolować czy dość pikantna, ewent. dodać soku cytrynowego lub winnego octu. Knedel bułczany odpowiedni jest jako dodatek do dania ciepłego.

PARZONE KNEDELKI Z CZEREŚNIAMI. Szklankę mleka zagotowuje się w ryneczce, dodaje pół łyżeczki soli i łyżeczkę masła. Na gotujące mleko sypie się wśród ciągłego ubijania 20 dkg sypkiej mąki; zupełnie gładkie i odstające od ścian ryneczki ciasto ostudza się, wbija 2 całe jaja i urabia je łyżką na ciasto, aż się utworzy jednolita masa. Ciasto wyłożone na deskę kraje się w kawałki, w które zawija się po 3 czereśnie. Ugotowane w słonej wodzie posypuje się suto smażoną bułeczką zmieszaną z cukrem i cynamonem i wydaje szybko na stół, gdyż przestałe twardną i stają się niesmaczne. zzz.

GRZYBEK Z OWOCAMI. 1/4 litra mleka, 4 żółtka, 7 dkg cukru, 8 dkg mąki, szczyptę soli ubija się, aby grudek nie było, dodaje pianę z 4 białek i wylewa na brytwankę, na której rozgrzano łyżkę masła. Masę posypuje się wydrelowanemi czereśniami i wstawia do gorącego piecyka. Po zrumienieniu się rozrywa się grzybek widelcami w paru miejscach, aby para uszła i posypuje cukrem z wanilją. W miejsce czereśni użyć można każdego innego owocu.

SURÓWKA Z KREMEM. Sezonowe owoce wydrelowane wzgl. pokrajane, ułożone na szklanej misce, kropi się rumem lub likierem curaçao i odstawia na godzinę. W międzyczasie sporządza się krem z 1/4 litra mleka, 3 żółtek, łyżki cukru i kawałka wanilji. Wszystko razem ubija się na ogniu, a gdy zgęstnieje, i następnie przestygnie, dodaje się pianę z 2 białek, miesza lekko, przykrywa owoce i zastudza na lodzie. Wierzch można przybrać bitą śmietanką. **Sc. Ko.**

TORCIK ORZECHOWY. Do tęgiej piany z 4 białek dodaje się 8 dkg cukru z zapachem cytryny (otarta skórka), 6 dkg startej na tarle czekolady i 10 dkg zmielonych orzechów laskowych, wkońcu łyżkę przesianej tartej bułki. Masę wlewa się do natłuszczonej formy i piecze w miernym piecu. Wystudzony tort można przekroić i przełożyć marmoladą lub kremem.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Przy nabieraniu miodu ze słoika czy puszki, należy łyżkę wpierw zanurzyć w mące, aby miód nie oblepiał się na jej powierzchni, lecz lekko spływał z łyżki.

Mundi — Amsterdam.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 27 — **Czerwiec** — 30 dni



NIEDZIELA **26** Jana i Pawła	Zupa poziomkowa. Grzybki w omletach. Kurczęta pieczone z mizerją. Krem na surowych owocach. Kolacja: Pasztet z wątróbki.
PONIEDZ. **27** Władysława kr.	Krupnik na śmietanie. Móżdżki cielęce panierowane. Kalbsteki z marchewką. Grzybek z owocami. Kolacja: Jaja w szarym sosie.
WTOREK **28** Leona II p.	Rosół "Julienne" z płatkami. Sztuka mięsa z szpinakiem. Pieczeń nerkowa z ryżem. Kruchy placek z truskawkami. Kolacja: Młode ziemniaczki z zsiadłem mlekiem.
ŚRODA **29** Piotra i Pawła	Zupa owocowa z słodkiemi grzaneczkami. Sałatka angielska. Kaczka pieczona z duszoną młodą kapustą. Francuskie ciastka z pianką poziomkową. Kolacja: Szynka z sałatką majonezową z jarzyn.
CZWARTEK **30** Emilii	Chłodnik buraczkowy z ogórkiem. Kalarepka z masłem i bułeczką. Zrazy siekane z kaszą. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Bukiet jarzynowy.

Lipiec

PIĄTEK **1** Teobalda op.	Zupa z świeżych grzybków. Knedelki z sera i grysiku. Ryba w sosie koprowym z makaronem. Ryż z śmietaną. Kolacja: Grzybki z jajami.
SOBOTA **2** Nawiedz. NPM.	Rosół z lanem ciastem. Marchewka z groszkiem i grzankami. Kura z rosołu z mizerją. Pierożki z czereśniami. Kolacja: Jaja w szklance.



HOCKI-KLOCKI

MAŁY WRÓG KOBIET.



— Traci pani czas niepotrzebnie, chcąc być zalotną. Na mnie to nie robi wrażenia, a i tak trzeba będzie zapłacić 10 centów za oczyszczenie bucików! „Esquire"

ROZRYWKI UMYSŁOWE

NIEDOBRANE PARY.

— Jaka to dziwna para narzeczonych — powiedziałem do mego znajomego, widząc zdaleka Zosię Z. i Jana J. — Jest aż 9 lat różnicy między niemi. — Czy wiesz — dodałem — że jej brat Adam i jego siostra Helena także się chcą już pobrać, chociaż mają razem tylko 40 lat! Wszystkim razem brak jeszcze roku do setki, a Zosia jest starsza od Heli o 13 lat.

W jakim wieku byli narzeczeni?

* * *

Słynny z roztargnienia profesor Szymczykiewicz, idąc jak zwykle z parasolem i trzymając w ręku list, wrzucił do skrzynki list, zamiast parasola. Oto skutki upałów!

* * *

Naczelnik straży pożarnej w Grajdołku rozlepił następujące ogłoszenie:

„Z powodu wyschnięcia wody w studniach miejskich, pożary odwołuje się aż do pory deszczowej".

W PRZYTUŁKU DLA STARCÓW.



— Szkoda, że nie znalazłem się tutaj przed 50-ciu laty! „Esquire".

Rozwiązania Nru z 25-go.

Zadanie szachowe. 1. b2-b4 Ha1—a3! 2. Hc2—g6! itd., albo a) 1... Sb1—c3, 2. Sg5—f3 szach, b) 1... c7—c6, 2. Hc- e4 szach itd., c) 1... Ke5—e4. 2. Wd6 bije d5 szach itd, d) 1... c7 bije d6, d. S g5—f3 szach itd.

(Deszcz i parasole).

Jest najzupełniej obojętnem, czy i gdzie były miejsca schronienia, gdyby autobus odchodził za 2 ogdz. Najpierw musiałby iść na stację Karol z Władysławem, który wróciłby się z dwoma parasolami i jeszcze raz szedł z Henrykiem. Ten tak samo musiałby odnieść parasol Zygmuntowi. Odległość 10 km pokryliby gładko w 2 godz.

Przy krótszym terminie odjazdu mogliby przyjaciele przejść w ten sposób 1200 m, a potem musieliby już iść we dwójkę pod każdym parasolem.

---

dalszy ciąg ze str. 24-ej.

stkie kobiety z San Francisco. Ryzykują one w nocy to, co w dzień zarobiły. Są zachłanne na wygraną, nieopanowane, zdolne do bójki z rozpaczy. W „Goldregion" panuje absolutna równość. Bankierzy i tragarze, kobiety i mordercy grają przy jednym stole. Wszyscy są jednakowo podnieceni i gotowi do walki, trzymając w pogotowiu strzelbę, lub wspierając dłoń na pistoletach.

Tego wieczoru, kiedy statek przywiózł owych 15 dziewcząt, poszedłem właśnie do „Goldregion". Stanąłem przy barze i zamówiłem kieliszek wina. Obok siedział bankier Stevens, który pomagał mi finansowo przy budowie „Eldorado".

— Jak się macie Stevens, — zagadnąłem.

— Dobry wieczór — odpowiedział. — Jak interesy? budujemy 24-ty dom?

— A wy finansujecie statki, przywożące kobiety do San Francisco?

— Tak. Myślałem nad tą sprawą długo i doszedłem do wniosku, że to doskonały dziś interes. Statki moje zatrzymują się we wszystkich ludniejszych portach Południowej Ameryki i werbują piękne dziewczęta na wyjazd do San Francisco. Ja pobieram 60 piastrów za przewóz, dziewczyna zaś po przybyciu na miejsce otrzymuje 400, jako zadatek za swą pracę od stowarzyszenia. Nie będą żałować te piękne awanturnice swej wycieczki. Wszystkie, które przyjadą, wyjdą dobrze zamąż...

Jest godzina 10-ta wieczór. Muzyka przestała grać. Wraz z Stevensem idziemy do kawiarni „Niepodległość", gdzie dają operę. Kuchnię prowadzi tu Chińczyk i jedzenie ma smak nieznośny, więc pijemy tylko wino. Robi się późno, wychodzimy. Przy ul. Waszyngtona mijamy świeżo otwarty teatr, gdzie Delamare, Julja i Hortensja święcą co wieczór triumfy. Trochę dalej znajduje się dom zajezdny, pod nazwą „Dziki Zachód". Przez okna widzimy dwie młode dziewczyny, które siedzą przy stole i pilnie szydełkują. Loki okalają ich ładne buzie. Palce sprawnie wykonują pracę. Przyglądamy się temu nowemu w San Francisco obrazkowi. Stevens mówi:

— Miałem założyć oddział mego banku i wrócić do Nowego Jorku. Zdaje mi się jednak, że jeśli doczekam się pierwszego transportu dziewcząt, pozostanę tu na zawsze...

— Jeśli idzie o mnie — odparłem, — myślę to samo. Ta ziemia okazała się dla mnie tak hojną, że pokochałem ją. A gdy spotkam odpowiednią kobietę, osiągnę wszystkie marzenia.

Idziemy dalej. W porcie lśnią sygnały świetlne. Chłodna i przejrzysta jak kryształ noc kalifornijska — pozwala ujrzeć nawet słabe błyski na dalekiej wodzie.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NA SCENIE.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego zaprezentował nową autorkę dramatyczną, p. Walentynę Alexandrowicz. Sztuka tej autorki pt. **„Jej syn"** uderza dobrem wyczuciem sceny i mocnem zarysowaniem konfliktu. Główne role przypadły pp. J. Koreckiej, T. Burnatowiczowi, R. Pawłowskiej, Janikowskiej, Jaworskiej, Czajkoskiemu i Opalińskiemu. Reżyserja p. J. Karbowski.

LWÓW. W Rozmaitościach wystawiono komedję węgierskiego pisarza, cieszącego się powodzeniem na naszych scenach, Bus- Feketego pt. **„Jan"**. W roli tytułowej dobrze spisał się p. Wojtecki. Dużo wdzięku miała p. Barwińska. P. Żmijewska, p. Gutten — oto wykonawcy, którzy zasłużyli na wyróżnienie.

BYDGOSZCZ. W reżyserji p. Koreckiego ujrzeliśmy komedję F. Gottwalda i Fr. Gribitza pt. **„Ostrożnie Brygido"**. Tytułową rolę wykonała z wdziękiem p. Brochocka. P. Kierczyński był eleganckim uwodzicielem. Dużo komizmu wniósł p. Winczewski. Wyborną Lissy była p. Jabłonowska. Mówiąc o udałych rolach, nie można pominąć pp. Tatrzańskiego i Dytrycha.

NOWE KSIĄŻKI.

„Na uboczu" Miecz. Zielenkiewicz (S. A. Krzyżanowski). Nowy tom poezyj autora „Kwietnej zamieci" i „Drogi" przepaja umiłowanie przyrody. Budzi się w nim pragnienie, by wywazyć drzwi i otworzyć je na szeroki świat, na pola i łąki, lasy i góry, by opuścić ulice wielkomiejskie i znaleźć się na pachnących ścieżkach, wijących się w uroczych ustroniach. Poeta zna wymowę wiejskiego krajobrazu: „Każdy nad drogą pochylony świątek, to wierzeń, legend, historji rezerwat..."

On jednak zdobywa się na pochwalę „Nowych czasów".

Jakiś raid, który niema ni startu, ni mety
O puhar idzie złoty, o perliste wino,
O czyjś uśmiech, o jeden srebrny sen poety,
O ostatnie westchnienie tych, co w chwale giną.
Poprzez balast słów pustych, serc wyziębłych tłumy,
Prometejskie się kują, granitowe trasy,
Duch zwycięzca przeorze serca i rozumy,
Idzie młoda ruń boża, idą nowe czasy.

Ale najlepiej czuje się Mieczysław Zielenkiewicz na swem „uboczu", pośród cudów natury, kiedy może zapomnieć o mieście:

„Wdycham miasto, wyrzucam je z płuc.
Bo zresztą mózgiem i krwią mi się stało.
...Nad ulicami wąski nieba szmat
W błękitne morze na wsi się rozrasta,
Inaczej stąd się już pojmuje świat,
Gdy się rozlecą ramy miasta."

Na wsi osaczają go takie słoneczne obrazy:

„Chałupa do słońca grzeje się jak kot,
Czapa dachu zjeżyła poczerniały włos,
Mrok wybiegł z izby i skrył się za płot,
Miedzią mieni się szczap sosnowych stos.
W skrętach grochowin sterczy bezład tyk,
Słonecznikowych coraz mniej już głów,
Płomienny, niemy malw wykwita krzyk ostatnich złudzeń i ostatnich snów.
Już ziemi zoranej zalatuje miód,
Znużony kasztan zrzuca z siebie liść,
Wszystko nasycić musi ziemi głód,
Wszystko ku czemuś ciągle musi iść."

Zetknięcie z przyrodą wiejską nastraja poetę optymistycznie, całkiem przeciwnie niż miejskie ulice:

„Ulica jest posępna, mury szare, opadł pył,
Chmury brudne, jakby je lepki opadł pył,
Nastrój przewala się mglistym oparem,
Życie jakgdyby szło ostatkiem sił,

Zielenkiewicz trzyma się „na uboczu", ale otacza go morze bujnej zieleni, zapach traw, szum lasów. To prawdziwy uciekinier z miejskich murów, który swemi wierszami otwiera sobie okno na umiłowany świat.

„Między morzem a fiordem". Sigurd Elkjaer (Książnica-Atlas). Jest to powieść duńskiego autora, który uzyskał za nią drugą nagrodę na londyńskim konkursie literackim w roku 1936.

Autor daje spokojną, zrównoważoną narrację, przedstawiając życie mieszkańców wioski duńskiej, położonej między morzem a fiordem. Ludzie tamtejsi zżyli się z surową naturą, zachowując jednak gorące serca.

Oto jeden z pejzaży, który da pojęcie o charakterze kraju i o stylu pisarza: „Powietrze przycichło w południe, drobna fala przebiegała po sundzie, a wyspa jakby zbliżyła się do lądu. Słońce świeciło nad zakrzywionym przylądkiem i niskiemi stokami, biały kościół odbijał blaski i migotał jak świeca z ołtarza. Można było odróżnić wysokie obejścia w tyle, poprostu policzyć kominy i dostrzec parę ciemnych smug dymu w bezchmurnem powietrzu. Wiatrak na Vesterhoved wydawał się wzniesiony wgórę, pod nim leżało niebo, a skrzydła trwały w bezruchu".

Poznajemy zarazem z tych słów spokojny nurt zdań Elkjaera, który rejestruje wydarzenia, mające dla nas smak egzotyzmu. Niewątpliwie dzieje młodocianej Cilly, zakończone nieoczekiwanie tragicznym finałem — pulsują żywem życiem wewnętrznem. Chłód północy nie gasi namiętności, ale wychowanie w duchu tradycji miejscowej ujmuje jednostki w karby. Tylko ci, co idą na dalekie morza jako marynarze, opuszczają wiekowe osiedla, aby zażyć rozkoszy i niebezpieczeństw wędrówek po świecie.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 26 czerwca.

12.03 Poranek muzyczny w wykonaniu Orkiestry P. R.
16.30 „Zaczarowany kprant" — słuchowisko.
18.00 „Podwieczorek z ogródka" — transmisja z restauracji we Lwowie.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 „Don Pasquale" — opera Donizetti'ego.

Poniedziałek, 27 czerwca.

16.00 Zespół instrumentalny Jerzego Gerta.
16.45 Upiór morski z Moldefiordu, felieton.
18.10 Koncert kameralny.
19.30 „W stratosferze towarzyskiej", koncert rozrywkowy.
21.10 „Pieśni morskie".
22.00 V wieków dawnej muzyki.

Wtorek, 28 czerwca.

16.45 Po pienińskich zakolach Dunajca — opowiadanie.
17.00 Muzyka taneczna.
19.00 Koncert absolwentów Konserwatorjum Muzycz. w Wilnie.
19.30 „Z Gdyni na dalekie lądy", aud. w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej. W przerwie anedoty z podróży „Daru Pomorza".
21.10 „Moja piękna wieś", transmisja z Belgradu.
22.00 Koncert solistów.

Środa, 29 czerwca.

7.15 Apel polskich marynarzy — transm. ze statku wojennego w Gdyni.
11.00 „Serce Władysława IV" — felieton.
11.10 „Morze tematem piosenki", koncert z płyt.
13.15 Muzyka obiadowa.
16.30 Kapela ludowa.
18.30 „Na morskiej fali" — koncert rozrywkowy.
20.05 Muzyka taneczna.
22.10 Od Gdyni do New Yorku — audycja muzyczna.
22.50 Capstrzyk polskich marynarzy — transm. ze statku wojennego w Gdyni.

Czwartek, 30 czerwca.

16.00 Łódzka Orkiestra Salonowa.
18.30 „Pola Elizejskie" — premjera słuchowisko.
19.00 Utwory Henryka Melcera w wykonaniu E. Ottawowej.
19.30 Wesołe miasteczko — koncert rozrywkowy.
22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, 1 lipca.

16.00 Muzyka lekka.
18.10 Duety Franciszka Schuberta na skrzypce i fortepjan.
19.00 Muzyka w wyk. Tria Salonowego.
19.30 Wieczór operetkowy.
21.10 „Na budowie" — aud. z cyklu „Piosenki dawnych czasów".
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Sobota, 2 lipca.

16.00 Miniatury kwartetowe — muzyka włoska.
19.00 Recital śpiewaczy Witolda Myszkowskiego.
19.30 Z pieśnią i tańcem przez Śląsk.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.